Koniec wakacji - czytajcie Odgłosy!

TYGODNIK ŁÓDZKI

Odgłosy

NR 35 (79)
CENA 1 ZŁ
Rok II. ŁÓDŹ
dnia 30 sierpnia 1959 r.

DZIŚ W NUMERZE:

■ Marek Konopka: ***O młodzieży amerykańskiej*** ■ Jan Janiszewski: ***Papierowa dyplomacja*** ■ Belfer: ***Młodzież w gustownym kolorze*** ■ Zygmunt Fijas: ***U Jana Wiktora*** ■ ***„Czarne koszule" w Paryżu*** ■

Zdjęcie: W. MACHEJKO

Zwijamy żagle...

GRZEGORZ TIMOFIEJEW

OSTATNI DZIEŃ POKOJU

Rozmowa nie kleiła się. Owszem, gadało się to i tamto, ale obaj wiedzieliśmy, że wcale nie o to chodzi. A przecież gdzie, jak gdzie, ale tu w „Tivoli" w ciepły sierpniowy wieczór pod rozgwieżdżonym niebem — chwila sprzyjała zwierzeniom. Topole, pamiętne jeszcze ze szkolnych moich czasów, nabrzmiały dojrzałością lata i teraz szumiały gęsto ociężale...

Na pozór wszystko było jak zawsze. Ogródek nie mógł pomieścić jaskrawego tłumu gości. Gwar przelewał się na ulicę. Kelnerzy w białych kitlach uwijali się żwawo między stolikami. Brzęczały naczynia, czasem strzelił korek od szampana. Ale ożywione rozmowy i podniecający śmiech kobiet nie zdołały stłumić niepokoju.

Beznadziejny i niepotrzebny wydał mi się i ten wieczór sierpniowy i ten tancerz, dobywający z siebie resztkę sił, aby zabawić gości.

Kiepska zabawa! Umowność sytuacji była już tak absurdalna, że wolałem wrócić do zaczętej rozmowy, ale ostrożnie, okrężnie, żeby nie przepłoszyć resztki nadziei.

Ogłoszona już mobilizacja została wstrzymana. Więc może jednak?... Rząd pokładał nadzieję w angielskiej mediacji. Panowało trwożne wyczekiwanie.

Skwapliwie podsumowaliśmy nasze szanse. Doniesienia prasy z ostatniego tygodnia. Mobilizacja we Francji i Anglii. Francja ma pod bronią milion dwieście tysięcy żołnierzy, dowódców bohaterów spod Verdun. Anglia powołała pod broń siedemset pięćdziesiąt tysięcy i dysponuje trzema tysiącami samolotów. Cała Europa zmobilizowana. Jeszcze dziś „Głos Poranny" opublikował artykuł pt. „Idealny stan lotnictwa wojskowego we Francji". Czy Hitler się odważy? Byłby szaleńcem. Jakiś angielski dyplomata utrzymywał, że **„kampania antypolska w Niemczech nie znajduje oddźwięku w społeczeństwie"**. Oby! Oby!

Tymczasem znad granicy i Gdańska napływały alarmujące wiadomości: ciągłe prowokacje. W Słowacji prawie od dwu tygodni koncentrowano wojska, a siedem dni wstecz został podpisany pakt Ribentrop-Mołotow.

Bilans nie zgadzał się:

Dalszy ciąg na str. 6

Fragment z książki pt. „Miłość nie zna zmęczenia", która ukaże się niebawem nakładem Wydawnictwa Łódzkiego.

WŁODZIMIERZ PIOTROWSKI

Rock na Czarciej Wyspie

Zaraz na stacji w Mikołajkach przekonasz się jakie ogromne zmiany dokonały się w psychice twojego ludu i gdzie to płyniemy na pełnych żaglach. Oto wymęczonego wielogodzinną „pekapiadą" za ciężkie złote polskie, opadają cię niewypierzone jeszcze pisklaki **ludzkie i nuże toczyć bój o klienta do swoich wózków — na codzień zapewne zabawek — od sezonu środków transportu.**

Perzą się przy tym, urągają sobie od słabeuszy a jest ich co najmniej dwudziestka na jednego przeładowanego bagażem turystę. Konkurencja pełną gębą.

Co z tego, że trzech — czterech piętnastolatków trzyma się przy trzydziestu złotych za kurs, kiedy ci po lat osiem, dziewięć czy dziesięć pojadą za dwadzieścia albo nawet za dziesiątkę.

Pusty odjedzie też ogumowany wóz konny pana Wolaka „Obsługa turystów Kajki 2" i dopiero po drodze przekonasz się, że malec lekko uciągnie twoje sto kilo tobołów, bo droga od stacji w Mikołajkach do jeziora z natury rzeczy w dół prowadzi i tylko dyszel kiem sterować trzeba.

A swoją drogą jesteś pełen podziwu dla zarobkowych zapałów tej pisklęcej czeredy ale o tym jeszcze na końcu, kiedy podziw w złość się przekształci...

Potem Jezioro Mikołajskie jak giez rozkrzyczane warkotem silników i silniczków motoryzującej się Polski. A jechałeś tu posłuchać koncertu Puszczy Piskiej... Ale znów rozpiera cię duma ze swego ludu. Rok temu brzęczał tu jeden dwa motorki — dziś setki tego, a może tysiące. Cichych jeziorek na Mazurach starczy.

Jakże jednak daleko do względnej samotności. Trzy kilometry od srebrnej sielawy pod mostem.

Piszczy, piszczy mały wózek a las nad jeziorami obstawiony namiotami, za Boga się nie zmieścisz. A wszędzie piszczą tak cudne dziewczęta, że przecież nie wypada za blisko... Wreszcie jest. Miejsce jak marzenie. Wyspa piaszczysta wśród krętej linii okopów lesnych. Miejsce w sam raz na namiot i okopywać nie trzeba, nawet gdyby się chmura zarwała. Wprawdzie co kilka kroków namiot ale wyjątkowo — same kawalerki.

Turyści są bardzo koleżeńscy.

— Państwo łodzianie? My

Dalszy ciąg na str. 5

„Czarna Maria" – postrach deptaków ● Hyde Park pilnie poszukiwany ● O związku zeza z przestępczością ● Randka i alimenty ● Strach przed starokawalerstwem ● Reglamentowany czas miłości ● Kodeks młodego pokolenia

Korespondencja własna

MAREK KONOPKA

TO HAVE A DATE

CZYLI

o młodzieży amerykańskiej

Za czasów mojej młodości, gdy byłem w miarę przystojny i nad miarę lekkomyślny, modnym miejscem schadzek bardzo młodych ludzi był w każdym polskim mieście „deptak". Każde powiatowe miasteczko jak Łowicz, Kutno czy Łęczyca miało — a myślę, że i ma nadal — swój deptak.

Warszawa — o ile sobie przypominam — miała deptaków coś pięć, a najbliższy mi był ten na Pradze wzdłuż ulicy Wileńskiej. Tam zawierało się przygodne znajomości, spotykało przyjaciół i znajomych i tam zaczynała się niejedna wielka miłość trwająca tydzień lub dwa, a w wyjątkowych wypadkach to i miesiąc. Zawieranie znajomości na ulicy, w tramwaju, na plaży nie należało do rzeczy dziwnych — raczej do bardzo naturalnych.

Jakież było moje zdziwienie, gdy po zapoznaniu się z Ameryką, dowiedziałem się, że tutaj tak pożyteczna instytucja jak deptak nie tylko nie jest znana, ale jest również zakazana prawem. Włóczenie się po mieście wzdłuż określonego odcinka ulicy i wystawanie na rogach w większej gromadzie jest bardzo surowo zakazane wieloma paragrafami kodeksu karnego, uchwałami prawie każdej rady miejskiej, zastrzeżeniami dostojnych audytorów powiatowych. Młodzież włócząca się po trotuarze, krążąca leniwie w odcinku kilku bloków jest czymś nie do pomyślenia. Gdyby nawet zebrała się taka młodociana kongregacja, policja miejska w obawie rozruchów i bójek chuliganerii rozpędziłaby ich natychmiast, a w wielu miastach załadowano by zgromadzonych do policyjnej karetki więziennej zwanej w gwarze ludowej „czarną Marią". Policja amerykańska uprzejmością nie grzeszy, jest bardzo efficient i nie ma czasu na sentymenty i ceregiele. W stosunku do przeciętnego obywatela odnosi się z lodowatą, ale poprawną obojętnością. Na polu młodzieżowym jest jednak znacznie gorzej — policjant zatrzymawszy samochód pełny młodych ludzi uważa, że ma przed sobą paczkę młodocianych przestępców i rozmawia z nimi w sposób od wieków udoskonalany i praktykowany tylko w dialogu ze złodziejem czy bandytą.

Pierwszym „obowiązkiem" policjanta amerykańskiego w rozmowie z nieznanym mu chłopcem jest obruganie go jak „beczki od smoły" — a dopiero później zadanie mu pytania i słuchanie tłumaczeń.

Za tłumne gromadzenie się na chodnikach (z wyjątkiem miasteczek uniwersyteckich) grozi zwykle areszt za włóczęgostwo, zwane tu „loitering". Ale słowo „loitering" jest bardzo szerokie i bardzo giętkie, można pod to prawnicze określenie podciągnąć niemal wszystko — od rozpędzenia grup młodzieży do aresztowania przywódcy robotniczego, który rozdaje na rogu ulicy ulotki związków zawodowych. „Loitering" jest używany najhojniej oczywiście w stosunku do młodych chłopców i ten zakaz obowiązujący w każdym mieście uniemożliwia istnienie deptaków.

Ale gdyby nawet istniała taka rzecz jak miejsce schadzek, teren neutralny, na którym obcy ludzie mogliby się zapoznać — to i tak nie dałoby to żadnych rezultatów — gdyż w Ameryce istnieje od dawna surowe prawo zabraniające zawierania znajomości na ulicy. Prawo to nazywa się przepisem przeciwko „ogling" i wyraźnie zabrania zaczepiania na ulicy, w teatrze, kinie, autobusie czy na plaży.

Samo słowo „ogling" oznacza przyglądanie się komuś natrętnie, zezem czy spode łba, i w wielu wypadkach wystarcza to, żeby kobieta wezwała policję, a ta natręta poddaje długim badaniom. Po takim przepytaniu młody człowiek, jeśli już spojrzy na ulicy na kobietę, to tylko ze strachem lub wyraźnym obrzydzeniem. O tym, aby podejść do nieznajomej dziewczyny na ulicy mowy nie ma i być nie może, dobrze wychowany człowiek nie odzywa się do nikogo i gdyby go na ulicy zapytała o coś sama Brigitte Bardot

czy Marilyn Monroe, nie odpowie i szybko odejdzie.

Podobnie umówienie się na randkę, spotkanie się z kimś „płci odmiennej" jest w amerykańskich warunkach bardzo skomplikowane i wcale niełatwe. Sama randka nazywa się „datę" — czyli po prostu data — pójście na randkę, to „have a date" (mieć z kimś datę). To określenie nie ogranicza się do młodzieży i spraw sercowych — swoje własne „daty" mają także businessmani, prawnicy, dyplomaci — pod to określenie podciąga się niemal wszystko, od wizyt do zebrań, ale najczęściej ma się jednak na myśli spotkanie młodego człowieka z najmilszą sercu.

Zapoznawanie się z obcymi jest bardzo, bardzo rzadkie, ale przecież istnieje i nazywa się to „pick up". Wygląda to tak, że młody człowiek chcący mieć jakąś „przygodę", jeździ swym samochodem po mieście, krąży po ulicach i próbuje szczęścia jak umie. Gdy go nie spostrzegą policja lub czujni obywatele, może mu się uda znaleźć jakąś pragnącą przygód dziewczynę — ale są to wypadki bardzo rzadkie.

„Pick up" jest wśród samej młodzieży uważane za coś gorszącego, coś o czym nie godzi się nawet mówić. Dziewczynę, która była kiedyś na takiej przygodnej randce w kole jej znajomych wszyscy uważają za „psa" (określenie nadawane dziewczętom albo bardzo brzydkim, albo bardzo niemoralnym.

„Pick up" bardzo często kończy się źle — dla wielu dziewcząt chorobą lub śmiercią ze strony maniaków i zboczeńców (to powoduje, że chłopiec próbujący tego rodzaju przygody jest surowo ścigany). Niemniejsze są i niebezpieczeństwa dla strony męskiej — zwykle w formie szantażu czy długiego procesu o ojcostwo. Proces taki zwykle kończy się nakazem małżeństwa — lub w wypadkach wyjątkowych, gdy dziewczyna nie pragnie małżeństwa, długoletnimi alimentami.

Tak się zresztą w Ameryce składa, że od najwcześniejszej młodości chłopiec ma swoją girlfriend" — co w tym wypadku oznacza dziewczynę od serca, a ona swego „boyfrienda" i taka miłość czy raczej „chodzenie razem" trwa całymi latami — zaczyna się gdzieś w wieku dwunastu lat i kończy małżeństwem.

Kiedyś, jeszcze trzydzieści, dwadzieścia, piętnaście lat

Nasza szkółka

MŁODZIEŻ W GUSTOWNYM KOLORZE

Owszem, wróciłem z urlopu. Pogoda była, dziękuję, w kratkę. Ludzie też.

Najpierw pożaglowałem z wiatrem czasu, to jest włożywszy na się dżinsy, trampki, plecak tudzież książeczkę auto-stopu do kieszeni ruszyłem dokąd... oczywiście na Mazury. Uciekłszy tutaj od zbawiania świata i kraju (w nocnych rodaków rozmowach) użyłem łona natury, sportu i prymitywu cywilizacyjnego. To znaczy pitrasiłem sobie zupki w proszku i rozprzężałem płuca, dmuchając materace, spałem na lądzie i na wodzie a nadto: wiosłowałem, pływałem łajbą tj. stawiałem grota, foka, balastowałem, halsowałem, knagowałem i wybierałem szoty. Łowiłem rybki bacząc na MO (jako że — mówiąc szczerze z braku karty wędkarskiej i niemożności jej nabycia — kłusowałem) i na kociaki z wędeczkami (moda 59). Kąpałem się jedynie w miejscach niedozwolonych, jako że dozwolonych nigdzie na Mazurach nie ma. Nadto też balowałem u „piratów", to znaczy zagłuszałem nocną ciszę leśną śpiewając przy ogniskach u szesnastolatków, piosnki zarówno rzewne jak i sprośne, sentymentalne jak i polityczne.

Nabrawszy sił fizycznych i moralnych, stwierdziwszy mianowicie, że cały naród oszalał, łazikuje, autostopuje, campinguje, kajakuje i łajbuje, jeździ po kraju (i zagranicy) na rowerach, motocyklach i hulajnogach zapragnąłem w końcu czynić wprost przeciwnie. Czynianie wprost przeciwnie, czegoś sprzecznego z modą, manifestacyjnie snobistycznego, a zdaje się przez to antysnobistycznego, mile zaspokaja poczucie przekory. Rzuciłem tedy jeziora i zwiałem do modnego kąpieliska.

Tutaj ja, Belfer, stary i niezbyt jary, pryncypialny i już nudnawy, wpadłem w towarzystwo „złotej młodzieży". Ba, podjąłem próby asymilacyjne, pewno z kiepskim rezultatem, ale zadowolony z siebie i otoczenia byłem przeogromnie. Stroiłem się tedy jak panna, przedpołudnia spędzałem w pozycji półpoziomej na leżaku rozkosznie paplając o niczym, po południu rozparty na kawiarnianym krześle kontynuowałem to zajęcie. Podejmowałem też wszelkie zabiegi ubawowe, to znaczy dansowałem w takt orkiestry. Ale wróćmy do złotej młodzieży.

Nie była ona znowuż taka złota. Raczej okolicznościowo pozłocona. Ot, wyszedłszy na plażę spotkałem znajomego, towarzysza wielce zasłużonego na wszystkich etapach, kolegę po fachu i i też pryncypialnego nudziarza. Otoczony był on rojem kociaków co to nigdy do wody nie wchodzą, nie żeby brudnych, tylko że nie sportowych, i młodzieńców, po których widać było, że ranek spędzali na dopasowywaniu koszuli do koloru spodni.

Zagadnąłem go, co słychać i czy jeszcze pracuje nad tym artykułem o włączaniu się czy też niewłączaniu załóg do rządzenia zakładem.

Mój szanowny towarzysz-kolega odparł, że pracuje nad tą babką. Tu poklepał babkę, nad którą pracuje. Babka, nad którą pracował roześmiała się z dowcipu, a kolega odetchnął z ulgą, że tak zręcznie zatarł mój nietakt. Podjąłem więc temat tej babki i tak przystałem do towarzystwa. W finale do babki również, ale to już moja sprawa.

Omawialiśmy stroje, paplaliśmy o pogodzie i o tym, co kto z kim i o której wczoraj robił. Przedrzeźnialiśmy bliźnich, hałasując skupialiśmy ich uwagę, włożyliśmy psu korale, usiłowaliśmy prowadzić prosiaka na smyczy odebranej psu od korali, z czego nic nie wyszło zresztą z winy prosiaka, urządzaliśmy konkurs nieróbstwa, wycieczki do kilku knajp, głównie zaś paplaliśmy.

Nasze złotomłodzieżowe paplanie o tyle różniło się od naszego kolektywnego paplania w cywilu, że czyniliśmy to z taką swadą, przejęciem, zaangażowaniem się na temat urody, pogody, kiecki, jakby to była debata rozbrojeniowa w ONZ.

Używaliśmy też specyficznego języka, który mieszał wyrażansy młodzieży wdechowo-dżinsowej z wyszukanymi frazami dziewiętnastowiecznych salonów. (Definicja ta może nie jest precyzyjna, ale w każdym razie nie był to ani żargon studencko-cwaniacki, ani normalny język, ani paplaniada z powieściowego salonu).

Uderzyło mnie wszakże jedno. Że język ten absolutnie obowiązujący w gromadzie natychmiast przestawał istnieć w momencie, kiedy nie występowaliśmy jako kolektyw czy też paczka (językiem nowocześniejszej socjologii mówiąc), a znajdowaliśmy się tete a tete.

Kiedy przestawaliśmy istnieć jako paczka, banda czy też towarzystwo, natychmiast wracaliśmy do języka i tematów, jakie są przedmiotem i podmiotem rozmowy między młodym inżynierem a młodym lekarzem, młodym lekarzem a prawie młodą plastyczką itd. Mało tego, wówczas mój kolega natychmiast zaczynał opowiadać, co o nim myślą w KŁ i jak to jest z tym rządzeniem czy nierządzeniem (nie pamiętam) robotników zakładami pracy.

O ile wzbudzało to moje podejrzenia co do autentyczności złotomłodzieżowości osób, z którymi współżyłem, o tyle wytłumaczyło mi to dlaczego, my, indywidualiści na wczasach, tak się co chwila nawzajem szukamy i skrzykujemy do kupy. Dlaczego chodzimy stadnie i dopiero w gromadzie nam dobrze. Po prostu tylko w ramach konwencji grupy i psychozy mikrotłumu potrafimy przestać być sobą.

Cóż by tu rzec jeszcze, skoro wszystko zostało już właściwie powiedziane?

Złotomłodzieżowa, rozbawiona, ze wzgardą mierząca wzrokiem różniących się od niej bliźnich paczka, absolutnie bezmyślna, paplająca, udająca romanse, lecz ich nie uprawiająca, drażniąca samym swoim widokiem otoczenie — to zwykły bluff. Zresztą, dlaczegóż od razu bluff? System wypoczynku. System, jeśli skuteczny, to równouprawniony.

A więc nasz prowodyr: kretyn, wesołek, picuś-glancuś nadziany forsą, amancik salonikowy itd., to w cywilu jakiś inżynier konstruktor, bliski nagrody państwowej, facet o zadziwiająco dobrze umeblowanym łbie, a ów kociak (aż usiadłem z wrażenia!) pracuje naukowo w weterynarii... Ówdzie zwykły inżynier, ale z biblistycznym hobby, tu towarzysz-kolega, ówdzie Belfer, a jak była między nami jedna najzupełniej zwykła k. — to miała tatę członka PAN.

Zdemonizowana złota młodzież przedstawiała się więc dosyć prozaicznie. I wszystko cośmy robili w zasadzie służyło temu, aby ową prozaiczność pozakrywać. Po to była cała zabawa uprawiana przez niektórych zapewne nie tylko urlopowo, ale i na codzień, po pracy.

Wypoczynek polegał tu więc na zakrywaniu prozy, a fakt jak wielką paczkę trzeba po temu skrzyknąć i jak głośno się ubawiać, świadczy o wysokiej technice takiego wypoczynku.

Chwalę złotomłodzieżowość, jestem za wolnością wyboru stylu wypoczynku, uważam złotomłodzieżowość za styl równouprawniony.

Na powyższe skrzywi się liczny Czytelnik powiadając, że złotomłodzieżowy styl ma w sobie jakieś elementy antyspołecznej demonstracji, nonszalancji, cechy drażniące. Ma. I mieć musi. Albowiem jest przejawem pewnego protestu przeciwko ogólnospołecznemu nawykowi dostrzegania wszystkiego i każdego, poddawania wszystkiego ocenom, że jeśli ktoś coś inaczej, to przeciw nam. Czas wysunąć społeczny postulat tolerancji — również dla rzeczy, które nie podobają się i postulat „stosowania niedostrzegania" zamiast ustawicznego oceniania, a to tam wszędzie, gdzie z odmienności (w tym nawet

pustki bezsensu) nie wynika społeczne zło.

Myśmy zaś ani nie wsadzali np. staruszkom szpilek w... leżaki, ani nawet nie zmusili tego prosiaka do spaceru na smyczy. A że pies pochodził w koralach to mu korona z głowy z tego powodu nie spadła. I jeśli właścicielka dostała palpitacji — to to jest jej wina.

Buźka, ladies and gentlemen

Wasz pozłocony

BELFER

„CZARNE KOSZULE" W PARYŻU

Młodość „szumiała" zawsze i zawsze szukała przygód. Niekiedy sublimowała się owa potrzeba wyżycia w spiski i zrywy polityczne — natury klasowej lub narodowej — częściej, zwłaszcza wśród „złotej młodzieży", degradowała do rzędu awanturek erotycznych. Kiedy jednak przed dwoma tygodniami „skórzane kurtki" w Sztokholmie wyległy hordami na ulice burzyć zabytki lub atakować przejeżdżające samochody za pomocą butelek z benzyną, kiedy „kwieciste bluzy" w Singapur stoczyły z policją walną, dwudziestoczterogodzinną bitwę — przebrała się miarka „zabawy".

Chuligani w Polsce, „stiliagi" w Związku Radzieckim, niemieccy „Halbstarken", angielscy „teddy-boys", włoscy „vitelloni", „nozem" holenderscy, „anderumjer" duńscy i południowo-afrykańscy „tsotsis", wreszcie nowojorscy „twardogłowi z asfaltowej dżungli" — nazwy są różne, ale problem wszędzie ten sam i podobne formy ekspansji. Przestępstwo jest zawsze celem dla siebie, nigdy środkiem.

23 lipca, w południe, w samym centrum Paryża, ponad dwudziestu wyrostków — bez powodu, ot tak sobie — wtargnęło do kawiarni, zdemolowało lokal i pobiło publiczność. Była to tylko przygrywka do właściwej batalii: gang z Vanves wybierał się na spotkanie z konkurencyjnym gangiem ze skweru Saint-Lambert. Ci nie kazali na siebie długo czekać, stawili się błyskawicznie w dziesięć samochodów i dwie ciężarówki. Wszystkie pojazdy były oczywiście skradzione. Obie bandy wystąpiły w podobnych uniformach: wyrzucone na wierzch koszule, dżinsy i czarne trzewiki. Nie różniły się również uzbrojeniem, z obu stron poszły w ruch kastety, „gaz-rurki" oraz łańcuchy od rowerów.

Od czasu słynnej bitwy pod Panteonem, która — w lipcu 1955 roku — trwała dokładnie trzy doby, a w której brało udział około trzystu pięćdziesięciu junaków, było to pierwsze tak zdecydowane wystąpienie „czarnych koszul" — jak ich nazywają we Francji. Nie dość na tym, następnego dnia identyczna historia powtórzyła się w maleńkim miasteczku pod Tulonem. Zdemolowano tam kawiarnię na wybrzeżu. Oburzenie publiczności doszło jednak do szczytu, kiedy niektórzy przedsiębiorczy filmowcy próbowali zaaranżować nowe awantury dla swoich celów „artystycznych".

Chłopcom z przeludnionych dzielnic podmiejskich, z wielkich koszarowych czynszówek, w wieku około lat dwunastu, nie wystarcza już do zabawy podwórze. Wychodzą na ulicę i skwery, łączą się w grupy. A potem przychodzi okres, kiedy wyrastają z obowiązku szkolnego, a pracować nie mogą lub nie chcą. Tak powstają „gangi" liczące nieraz do stu osób i obejmujące całą młodzież z danego rejonu, wszystkich chłopców w wieku od czternastu do dwudziestu jeden lat. Niektóre gangi mają autorytatywnych wodzów, większość rządzi się kolegialnie, wszystkie jednak mają własne odznaki i hasła, wszystkie również mają określony teren działania, wybrane knajpy i kina. Biada śmiałkom, którzy zapędzą się w konkurencyjną dzielnicę. Zdarza się to zresztą dość często — zaspokajając potrzebę ruchu oraz łamania prawa, bandy motoryzują się: młodsi porywają skutery, starsi auta i rozbijają się po ulicach najeżdżając rozmyślnie na przechodniów i prowokując policję. Nie są to nawet w dosłownym sensie kradzieże, młodzieńcy nie przywłaszczają sobie wehikułów, zajeżdżają je tylko do zużycia benzyny lub uszkodzenia motoru.

Chłopcy z zasady nie pracują; podbierają pieniądze rodzicom, jeżeli ich mają, organizują sobie dorywcze zarobki, lub po prostu specjalizują się w kradzieżach kieszonkowych. Na ogół pracują natomiast przynależne do band dziewczęta. Pracują i zasilają w gotówkę swoich amantów. Jest to jeszcze jeden powód do bójek; o dziewczynę warto się bić.

Kandydat do gangu musi wykazać się sprawnością fizyczną i odwagą. Poddaje się go zwykle trzem próbom: powinien przewrócić stragan z pomidorami na rynku lub wybić szybę w sklepie przy ruchliwej ulicy, napluć w w twarz przechodniowi, wreszcie kogoś pobić, najlepiej członka wrogiej bandy. Po przyjęciu, młodego adepta wprowadza się w świat: poucza jak robić, żeby dżinsy prędzej spłowiały, gdzie kupić koszulę ze zniżką dla sprzysiężonych, jak zdobyć darmową wejściówkę do kina.

Kino jest ulubioną i główną rozrywką tej młodzieży. Szanujący się młodzian bywa w kinie dziesięć do dwunastu razy w tygodniu i to wyłącznie na gapę. Chodzi się często po kilka razy na ten sam film, treść jest w gruncie rzeczy obojętna, chyba że gra Marlon Brando lub James Dean. O, wtedy rzecz inna, wtedy trzeba być codziennie na seansie. Oni, wybrani bohaterowie, nadają przecież gangom styl życia i modę. Stąd właśnie podobieństwo uniformu.

„Wyobcowani ze społeczeństwa, nieprzystosowani" — tak określają socjologowie problem chuligaństwa wśród młodzieży. Rozbicie rodziny i nieukrywana powojenna demoralizacja dorosłych, pragnienie ułatwionego życia, brak zajęcia po ukończeniu szkoły podstawowej, zagubienie jednostki, nie nadążającej za szybkim postępem cywilizacji, i wynikająca stąd potrzeba życia stadnego — oto przyczyny, które podaje się najczęściej niezależnie od ustroju i szerokości geograficznej. Co do roli kina, telewizji, komiksów — opinie są podzielone. A jednak one to kształtują w jakiś sposób model życia. I nie chodzi tu o filmy „czarne", niecenzuralne. Owe niewinne, rozrywkowe, nieszkodliwe dla większości społeczeństwa, dla pewnych jego grup stają się niedostrzegalną trucizną. Niewyrobiony, ograniczony intelektualnie, pozbawiony krytycyzmu młodzieniec podziwia bohatera, który używa do syta, który posiada samochód, dziewczynę, pieniądze na przyjemności, i posiada to wszystko bez realnej, osobistej zasługi. Dlaczego więc on ma być gorszy? Dawniej dziecko marzyło „kim będzie, gdy dorośnie", obecnie marzy: „co będzie mieć".

Przestępczość młodocianych rośnie zastraszająco. W ciągu pięciu ostatnich lat liczba małoletnich przestępców w Stanach Zjednoczonych zwiększyła się przeszło dwukrotnie. W Anglii w ciągu lat dwóch wzrosła o 75 procent. We Francji jest trochę lepiej, ale zaniepokojony ekscesami rząd wydał ustawę o działalności prewencyjnej czy raczej profilaktycznej. Zaktywizowano instytucję opiekunów społecznych, którzy starają się pokierować zainteresowaniami i energią swoich pupilów, nim jeszcze ugrzęzną ostatecznie. Rozwija się więc turystykę, zakłada kluby, organizuje stowarzyszenia krótkofalowców. Podobno daje to czasami wyniki pozytywne.

Opracował H. O.

temu, było inaczej, chłopiec mógł chodzić i chodził na randki i spotkania z wieloma dziewczętami — uważało się to za rzecz naturalną. Młodzież pokolenia rytmu i młodzież epoki „beat" jest inna. Chodzenie z sobą — czyli w nowej gwarze amerykańskiej „going steady" to właśnie going steady i nic innego. I to going steady zaczyna się wcześnie i trwa długo. Co więcej, dzisiejsza młodzież jest zgorszona zwyczajami rodziców i starszych braci, uważa je za gorszące, za niemoralne, za karygodne.

Jeszcze niedawno modne było w Ameryce na dancingach i zabawach tanecznych tzw. „cut in" czyli odbijanie sobie partnerki. Dzisiaj jest to uważane za rzecz skandaliczną, grzech śmiertelny i niewybaczalny. Jeszcze piętnaście czy dwanaście lat temu zauważyć było można młodego człowieka, który tańczył z dziewczyną trzymając za jej plecami banknot pięciodolarowy — był to sygnał, że chce się pozbyć swej partnerki. Dzisiaj, wśród młodzieży tak uniwersyteckiej jak i ze szkół średnich byłoby to sygnałem do wyrzucenia tego chłopca z sali tanecznej i do bojkotu.

Przez długie, długie miesiące nie rozmawialiby z nim chłopcy, ignorowałyby go dziewczęta. Masz bracie dziewczynę, umówiłeś się z nią na randkę, chodzisz z nią, to nie próbuj się wykręcić sianem. Możesz z nią oczywiście zerwać, ale ma się to odbyć w sposób „honorowy" i **na pewno nie tak upokarzający** jak wykupywanie się pięciodolarówką. Nawet w kołach chuliganerii, wśród paczek miejskiej łobuzerii i młodocianych gangsterów jest to ściśle przestrzegane i honorowane. Gdy dziewczyna jest uznana za wybrankę tego a nie innego chłopca, gdy się sama za nią uważa, żaden inny chłopiec nie będzie natrętny, nie będzie się starał „odbić" jej na dancingu, na pewno nie będzie się starał z nią tańczyć. Na dancingu partner teraz tańczy cały wieczór z tą i tylko z tą dziewczyną, z którą przyszedł.

Młodzi chodzą na zabawy, do kina, na przejażdżki samochodowe tylko z kimś znanym od dawna, ze szkoły, z sąsiedztwa, z kościoła, klubu. Bardzo powszechna jest jednak forma „ślepej randki", „blind date" — umawianie się z kimś na niewidzianego. Wygląda to tak, że jakaś dziewczyna ma koleżankę czy siostrę i stara się znaleźć partnera i dla niej. Wielokrotnie rodzice nie pozwalają na randkę tylko jednej siostrze — w ten sposób powstaje problem znalezienia kogoś, kto by zgodził się pójść z „tą drugą" — zwykle nieco brzydszą czy głupszą. Znalezienie partnera na „ślepą datę" nie jest łatwe, gdyż musi to być ktoś „na poziomie". O tym aby na „ślepą randkę" wziąć ze sobą byle kogo — czy może kogoś wynająć — mowy nie ma. Jest to kupowanie kota w worku — ale możecie być pewni, że jest to kot, a nie jakieś inne zwierzę, że jest to chłopiec czy dziewczyna z tego samego środowiska, o tych samych poglądach czy upodobaniach. Zasady gry i tutaj są ustalone i ściśle przestrzegane. Ślepa randka często przeradza się w „going steady", a następnie w małżeństwo.

Ten rodzaj umawiania się jest szczególnie modny na wyższych uczelniach, zwłaszcza na pierwszym roku studiów. „Ślepa randka" jest dzisiaj jedyną formą respektowanej i w ogóle możliwej formy zapoznania się z kimś obcym. Chłopcy amerykańscy żyją w panicznym strachu starokawalerstwa, dlatego taki chłopczyna trzyma się kurczowo dziewczyny, którą zna od lat i o której mówi jak o swej przyszłej żonie. Amerykański chłopiec wie, że po utraceniu tej pierwszej i jedynej może już nigdy nie znaleźć innej dziewczyny.

Amerykańskie statystyki mówią wprawdzie, że na jednego mężczyznę przypada coś półtorej kobiety, ale niestety te nadliczbowe panie są jednej kategorii — wdowy dobrze po sześćdziesiątce, które z reguły przeżyły swych zagonionych polowaniem na dolary mężów. W rocznikach młodszych przeważają chłopcy. Raz zapoznawszy się, młody człowiek staje się domownikiem w domu sympatii — odprowadza ją codziennie ze szkoły, przynajmniej pół godziny dziennie rozmawia przez telefon, odrabia dla niej lekcje, spędza w jej domu wieczory przyglądając się leniwie ekranowi telewizora, na którym przesuwa się wiecznie ta sama gama kowbojskich filmów. Poza dom młodzież na ogół wychodzi mało — nie więcej niż dwa razy tygodniowo — do kina czy na dancing w piątki i soboty. W Stanach są to najważniejsze noce tygodnia, w te wieczory nawet bilety do kin i tea-

Dalszy ciąg na str. 4

Korespondencja własna

MAREK KONOPKA

TO HAVE A DATE

CZYLI

o młodzieży amerykańskiej

(Dokończenie ze str. 3)

trów kosztują drożej. Na taki piątkowy i sobotni „date" chłopiec zjawia się ubrany w swój najlepszy strój. Młodzież amerykańska nie ubiera się ładnie w dzień powszedni, do szkoły chodzi często w luźnych „dżinsach" z granatowego płótna żaglowego, wiatrówka jest chyba najpopularniejszą formą i częścią stroju — ale na swoją „date" chłopiec przyjdzie wypucowany „na glanc", wyglądający jak model z żurnala mód czy fotografia z magazynu „Life".

„Data" to czasem pójście na tańce — ale nie jest to najistotniejsza część randki. Młodzi tańczą na dancingu ze sobą, a ponieważ przebywają razem codziennie — więc i dancing ogranicza się najwyżej do dwu godzin. Częściej jest to pójście do kina, najczęściej odwiedzanie kin typu wjazdowego czyli „drive in". Od kwietnia do listopada ten rodzaj kina to przytułek amerykańskiej młodzieży. Jest on tyle wygodny, że można zachowywać się we własnym samochodzie jak się chce, bez obawy wtrącania się zgorszonych lub zazdrosnych sąsiadów. Po kinie idzie się na „pizza". Pizza w ostatnich latach uzyskała rangę narodowej potrawy amerykańskiej. Ten okropny włoski placek, bigos z kruchego ciasta, siekanej kiełbasy, zielonego pieprzu, pomidorów, sera itp. smakołyków stał się nagle przysmakiem Ameryki. Każda ważniejsza ulica ma przynajmniej po parę „pizzerii".

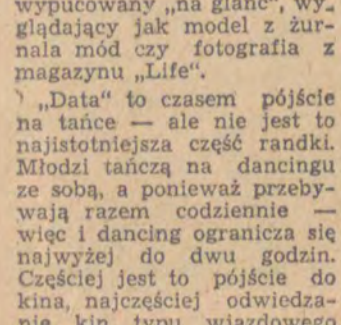

Jest to ukoronowaniem randki, wieczoru punkt raczej kulminacyjny, sakramentalny, uświęcony nakazem mody. Dla młodzieży poniżej lat osiemnastu w każdym mieście amerykańskim istnieje godzina policyjna — w dni powszednie jest to godzina dwudziesta druga, w piątki i soboty — pierwsza. O tej porze wszystkie randki się też i kończą — co tam zresztą ukrywać — w większości amerykańskich miast po godzinie dwudziestej drugiej na ulicy nie zobaczycie żywego ducha i ruch kołowy jest bardzo rzadki. Wyjątkiem jest piątek i sobota, dni weekendu, zabawy, tańca. Każda dziewczyna ma zresztą obowiązek być w domu o oznaczonej porze i o oznaczonej porze się zjawia. Pocałunek pod drzwiami kończy zwykle wieczór wielkiej miłości. Nawet tu zresztą kodeks młodzieżowy jest jasny — pocałunek może nastąpić dopiero po czwartej randce. Nowo zapoznani, jeśli chcą zerwać bez większych komplikacji, powinni to uczynić właśnie przed czwartą randką. „To have a date" w Ameryce to wcale nie taka prosta, jak widzicie, sprawa. Młodzież żyje własnym życiem, rządzi się własnym kodeksem moralnym, który w tej chwili jest bardzo surowy, prawie purytański i bardzo ściśle przestrzegany. Trudno się wyłamać z narzuconych wolą ogółu form i ograniczeń, trudno być buntownikiem i „kwadratowym klockiem w okrągłym otworze" jak młodzież tutejsza nazywa kogoś kto się wyłamuje. Albo więc przestrzega się tych form i „ma się datę", albo nie przestrzega i czeka na próżno na telefon od kogoś znajomego, telefon, który zawsze milczy.

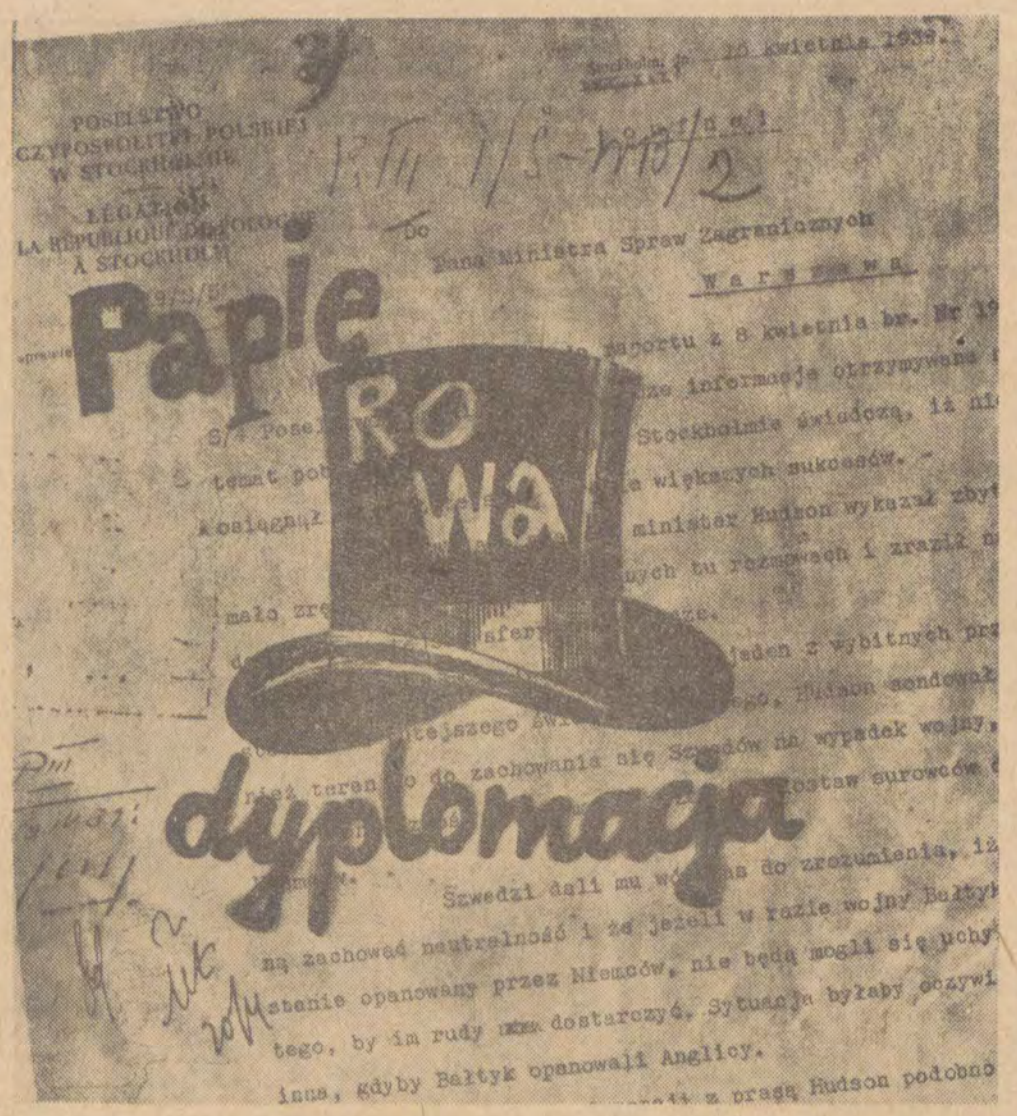

(III)

Hrabia Jerzy Potocki, brat pana na Łańcucie — Alfreda, jest nieuleczalnym optymistą, wierzącym, że sytuacja musi się kształtować korzystnie, zgodnie z polityką odziedziczoną po Piłsudskim, o czym wspomina w swych pamiętnikach Jan Drohojowski („Jana Drohojowskiego wspomnienia dyplomatyczne", W-wa, PIW 1959).

Kosmopolita, minister pełnomocny Suwerennego zakonu maltańskiego w Limie, reprezentuje sarmacki pogląd widzenia na wszystko — jakoś to będzie.

Jaskrawym akcentem tej dewizy jest zdanie w raporcie politycznym do Szefa na Wierzbowej z dnia 21 listopada 1938 r.

„...przypuszczalnie Niemcy nie zaatakują pierwsi Anglię i Francję, i że wobec tego nie widzę po prostu punktu zaczepnego w całej tej kombinacji",

Przenieśmy się z raportami wysłannika RP do USA.

Prezydent Roosevelt jest w trudnej sytuacji. Panoszący się militaryzm hitlerowski w Europie nie oddziałuje na izolacjonistów...

„Mimo tego, że propaganda jest szyta grubymi nićmi i że przedstawia Niemcy w świetle jak najbardziej ujemnym, wyzyskując głównie prześladowania religijne i obozy koncentracyjne".

Mein Liebchen, was willst du noch mehr?

W dalszym ciągu raportu p. ambasador dziwi się, że propaganda antynazistowska nie „zachacza" o Związek Radziecki.

„Znamiennym i ciekawym faktem jest, że w całej tej bardzo pomysłowej kampanii prowadzonej głównie przeciwko nazizmowi, eliminowana jest zupełnie Rosja Sowiecka, a jeśli jakakolwiek wzmianka o niej jest wypowiedziana, to zawsze w formie przyjaznej, na to, by wzbudzić wrażenie, iż Sowiety łączą się z blokiem państw demokratycznych".

Pan ambasador ponadto „nie widzi" wojny w Europie i dziwi się, że w Ameryce:

„Oprócz wyżej omawianej propagandy, wytwarzana jest sztuczna psychoza wojenna, która wmawia w naród amerykański, że pokój w Europie wisi na włosku, i że wojna jest nieunikniona, przy czym niedwuznacznie daje się społeczeństwu do zrozumienia, że Ameryka w razie wojny światowej będzie zmuszona wystąpić czynnie w obronie haseł wolności i demokracji świata".

Stanowisko prezydenta Roosevelta wyjaśnia Potocki w raporcie styczniowym z 1939 r.

„Prezydent Roosevelt był pierwszym, który otwarcie rzucił hasło nienawiści do faszyzmu. Prezydent miał w tym podwójny cel: 1) chciał odwrócić uwagę społeczeństwa amerykańskiego od zawiłych i ciężkich problemów wewnętrznych, a głównie od problemu walki świata kapitalistycznego z obozem pracy; 2) przez wytworzenie nastrojów wojennych i niebezpieczeństwa grożącego Europie, chciał zmusić społeczeństwo amerykańskie do aprobaty olbrzymiego programu dozbrojeniowego Ameryki, który przekraczał potrzeby defensywne Stanów Zjednoczonych".

Żadnych innych, tak zwanych ludzkich względów w tym stosunku do faszyzmu Potocki nie widzi...

Przenosząc się z kolei do Londynu, „wpadniemy" na chwilę do neutralnego Sztokholmu.

Informatorem naszym będzie poseł RP przy królu Gustawie, G. Potworowski.

Na trzy i pół miesiąca przed wojną Szwecja wyraźnie określa swoje stanowisko.

„...jeżeli w razie wojny Bałtyk zostanie opanowany przez Niemców, Szwedzi nie będą mogli się uchylić od tego, by im rudy dostarczyć".

Polityka Szwecji to przede wszystkim business.

„Szwedzi są przekonani, że nieprzyjęte przez Anglię towary (zwłaszcza produkty rolnicze) ulokują bez trudności w Niemczech, z którymi w ogóle im się bardzo dobrze i składnie handluje".

Edward hr. Raczyński, ambasador Polski w Londynie od roku 1934, przebywa w otoczeniu wybitnych dyplomatów z innych państw, jak np. Iwana Majskiego, akredytowanego od 1932 r. czy też Józefa Patryka Kennedy'ego, przedst. USA, bliskiego współpracownika Roosevelta.

W piśmie do ministra Becka z dnia 9 marca 1939 r. relacjonuje ambasador b. ciekawą rozmowę z p. Hudsonem, sekretarzem parlamentarnym dla handlu zagranicznego, a więc człowiekiem blisko stojącym City i Foreign Office:

P. Hudson jest pełen optymizmu: „Znajdujemy się już prawie poza okresem niebezpieczeństwa. W szczególności Niemcy życzą sobie bardzo porozumienia gospodarczego, którego rzecznikiem jest m. in. p. Funk (min. hitlerowski — J. J.). Skłania ich do tego ciężkie położenie gospodarcze, które — zdaniem p. Hudsona — doznaje obecnie silnego zaostrzenia przy spadającym eksporcie etc. i które w szczególności miałoby nabrzmieć w lecie br. Porozumienie gospodarcze angielsko-niemieckie uważa p. Hudson za jak najbardziej prawdopodobne w ramach umów kartelowych".

Bliską przyszłość widzi p. Hudson w różowych kolorach.

„Teraz się ułożymy na odcinku gospodarczym, obalając m. in. dotychczasowy system niemiecki dwustronnych transakcji wymiennych — na jesieni ściągniemy do Londynu Goeringa, za rok doprowadzimy do układu o ograniczeniu zbrojeń, za 18 miesięcy zaś załatwimy bez reszty bolączki kolonialno-surowcowe, zabezpieczając w ten sposób pokój i przywracając zachwianą równowagę".

I pomyśleć, jak to wszystko ładnie się na papierze układało...

W tym samym dniu spotkał się amb. Raczyński z amb. Majskim.

„Ambasador radziecki zarzuca Anglikom brak należytej perspektywy historycznej i trafnej oceny równowagi sił w Europie. Anglicy, jego zdaniem, wyobrażają sobie potęgę Wielkiej Brytanii na miarę roku 1870".

Z przytoczonych rozmów z p. Hudsonem i amb. Majskim ambasador nasz wyciąga szereg wniosków.

„...bliższy polityczny kontakt Londyn-Moskwa jak dotychczas nie został nawiązany i że takie fakty uderzające opinię publiczną, jak np. nieoczekiwane pojawienie się premiera na wieczorze w ambasadzie sowieckiej było obliczone zwłaszcza na efekt zewnętrzny, nie wypływają zaś z uprzedniego poufnego kontaktu między stronami".

Beckowska szkoła polityczna znajduje pełne odbicie w poglądzie p. ambasadora na naszą sytuację po rozbiorze Czechosłowacji.

„Polska, pomijając Sowiety, jest jedynym bodaj czynnikiem w Europie wschodniej, posiadającym pełną polityczną niezależność i warunki zewnętrzne i wewnętrzne, pozwalające na samodzielną decyzję".

26 kwietnia 1939 r. ambasador polski w Londynie wysyła 10-stronicowy raport do swego ministra.

Raport poświęcony jest głównie stosunkom angielsko-radzieckim. Wynika z niego jasno, że Anglia chce zachować całą siłą „splendid isolation" w sprawach europejskich i jedynie pod naciskiem opozycji rząd JKM podaje informacje, które są równie mgliste, jak przysłowiowy klimat londyński.

„Wypadki albańskie (6 kwietnia 1939 r. Mussolini włącza Albanię jako kolonię — J. J.) **wywołują konieczność zwołania parlamentu na jeden dzień w czasie przerwy świątecznej dnia 13 kwietnia. Premier otwiera debatę, w której po zobrazowaniu sytuacji międzynarodowej — komunikuje o decyzji gwarancji dla Rumunii i Grecji, nie wspomina jednak o stanowisku rosyjskim. Dopiero pod koniec przemówienia, kiedy z ław opozycji padają okrzyki: „What about Russia?" ogranicza się do wyrażenia nadziei — że fakt iż nie wspomniałem o Rosji nie będzie zrozumiany przez opozycję jako dowód, że nie utrzymujemy ścisłych stosunków z przedstawicielami tego kraju. Mamy przed sobą do spełnienia bardzo trudne zadanie. Musimy brać pod uwagę nie tylko to, czego sami pragniemy, lecz również to, czego chcą inni partnerzy".**

Znamienna jest konkluzja, zamieszczona w końcowej części raportu amb. Raczyńskiego.

„Dotychczas więc — unikając jeszcze akcentów zbyt wyraźnie antysowieckich — polityka brytyjska stara się uchylić od zbyt bezpośredniego wiązania się z Sowietami. Jednakże dalszy rozwój sytuacji międzynarodowej może pójść w tym kierunku, że utrzymanie tej linii postępowania nie będzie możliwe".

Jesteśmy w przededniu dwudziestej rocznicy tragicznego września. Przytoczone dokumenty będą przedmiotem dalszych badań historyków, wnikliwych analiz.

Ci, którzy przeżyli 1939 rok przekonani są namacalnie o papierowości naszej przedwrześniowej dyplomacji, młodzież zaś niech pilnie studiuje karty historii, by z jej mądrości wyciągnąć wnioski i naukę.

JAN JANISZEWSKI

ROCK NA CZARCIEJ WYSPIE

Tekst i zdjęcia
Włodzimierz Piotrowski

Dokończenie ze strony 1

też, tylko że teraz w Katowicach. I zaraz zabrali się do roboty.

Widząc, że jesteśmy skonani, rozbili namiot, urąbali drzewa, przynieśli wody na herbatę. Wprawdzie pływały w niej rozwielitki, ale co to dla turysty...

Z ta wodą to „numer" dla siebie. Pranie się w niej wyprawia, kąpiel, skrobanie ryb, mycie naczyń, a potem... herbata albo neska wyśmienita.

— Nie wypiję tego! Za żadne skarby — powiedziała któregoś dnia żona. Wybraliśmy się przeto na poszukiwanie źródełka. Było tuż obok. Nawet w betonowej obudowie. Dopiero po paru dniach okazało się, że to końcowa studzienka zaniedbanego szamba. Urządzenie było tak zanieczyszczone, że spływ ledwie tu docierał. Oczyszczony przez ...właśnie przez te zanieczyszczenia....

Klasyczny jednobabkowiec

Dziewczęta dojrzewają za szybko...

Nawet warkot motorów nie jest w stanie obudzić zdrożonego turysty. Ale czy tylko zdrożonego. We wszystkich namiotach dzień zaczynał się o ósmej, dziewiątej, a czasem później.

— Ano cóż — tłumaczył mi stary wyjadacz mazurski — są tacy co rzeczywiście całe dnie maszerują i zmęczeni. Ale większość to nocne Marki. Nie widzi pan ile tu wspaniałych „ciziek"? Puszcza Piska to raj młodej pospolitej. Wszystko wali dziś po wielką przygodę i najtańszą, bo dziewcząt nie brak i auto-stop funkcjonuje. Spotkaliśmy jedną znajomą dziewczynę. Włóczyła się z gromadą wyrostków. Razem pływali „Omegą", razem biwakowali. — Tylko niech pan rodzicom nie mówi, pojechałam niby z koleżankami...

Komendant MO z Mikołajek chwalił się, że oni tu wszystkiego pilnują. Niejedną już wybrali z namiotu i odesłali do domu. Ale gdzie tam. Chwalił się tylko i może rzeczywiście „nie jedną", a powiedzmy: dwie, trzy. Rzecz w tym, że takich „ciziek", szesnasto, siedemnastoletnich w Mikołajkach, Rucianych czy Giżycku, a właściwie na leśnych i wyspiarskich biwakach — za dużo. I nie wiem czy dobrze, że tak szybko dojrzewają... Zdaje się, że źle raczej, bo zgorzkniałe potem, jakieś przeżyte, znudzone i pozbawione dziewczęcego uroku. Obserwowaliśmy trzy takie na „Kaszubie". Płynęły tym stateczkiem do Piszu i żarły się o jakieś cztery złote, które jedna z nich wydała na papierosy. Były to ostatnie grosze...

— A kto cię teraz poderwie — drwiła jedna z tej siedemnastoletniej palaczki

Piraci przed balem na Czarciej. Muszą mieć „trzybabkowiec", a to kosztuje trochę... więc zbiórka przed pocztą.

Jednobabkowcem pływa się znakomicie...

— Co? Może minister poderwie autostopowiczkę? — drwiła druga.

Jedno, dwu i wielo-babkowce...

„Nie ma jachtu bez babki"! Oto hasło, pod jakim wypuszczają się w rejs żeglarze. „Babka" stała się nieodzownym akcesorium jachtingu. Nie mówi się już teraz jedno, dwumasztowiec a jedno, dwubabkowiec. Oczywiście bywają i większe. Są też tacy, którzy mierzą jachty na kilogramy ciała, czyli babek, jak przedtem mierzyli na metry ożaglowania. Cyfry zawsze pokaźniejsze. Wieczorem, po rejsie, babki rozpakowują klamoty i pitraszą. Najczęściej ryby, a te najczęściej podebrane z sieci okolicznych rybaków. Dlatego takie okazy!

— Oprócz ryb przyrządzają one kanapki. Widziałem kiedyś jak obłożyły nimi całe molo przy „Złotym Widoku", a chwaliły się jedna przed drugą, że w domu to im się nie chce. To tak jak moja córka... Potem kiedy „wilki mazurskie" podjedzą zdrowo... Potem... Co tam, mój drogi redaktorze, płakać się chce. Byłem z żoną i dziećmi...

I właśnie dlatego nie wybrałem się na „Rock na Czarciej Wyspie". A afisze zwoływały wszystkich. Wisiały wypędzlowane palcem w Mikołajkach, w Rucianych, w Giżycku i Piszu „Bal piratów na Czarciej" (to taka wyspa na Śniardwach, gdzie tylko jeden dziki kot żyje i czasem... tańczą nagie kociaki).

Wszystkiemu zawinił komendant

A wszystkiemu zawinił właśnie ów wspomniany komendant MO z Mikołajek. Zapraszał mnie na bal ten milicyjną motorówką i to zapraszał przy żonie.

— Panie — opowiadał — taaki materiał. Żeby pan wiedział, co tam się działo w zeszłym roku...

Starałem się nawet nie domyślać, ale żona... Ona wiedziała już wszystko i powiedziała... — Nie pojedziesz i tyle!

— A kto urządza ten bal? — zapytałem jakoś może niefortunnie.

— ZMS z Krakowa — odpowiedział komendant i dodał: — Jedziemy tam dużą siłą. Wszystkie milicyjne motorówki...

Ładnie się bawicie, moi młodzi...

Ale wróćmy do leśnego biwaku. Co tam. Łza się kręci... I właśnie kiedy wróciliśmy okazało się, że z tą przedsiębiorczością młodych nie wszystko w porządku. Zginęła siekierka, saperka stalowa, wędki bambusowe, flaszka z olejem i chleb. A wszystko przez te ostatnie. Bo pisklaki z Mikołajek wykryli w lesie kopalnię złota. Właśnie flaszki. Wynoszą tego całe worki, a przy okazji zbierają chleb dla świnek. Pół biedy. Tylko dlaczego rzucili się na większe zarobki? Siekierka, saperka i wędki to już kilkaset złotych no i... nie będziemy już łowili kolek, mój synku...

Jutro naszej turystyki

Reportaż wszakże nie będzie tylko frywolny i tylko pesymistyczny. W Dolinie Wielkich Jezior Mazurskich odkrywamy nowe, wspaniałe jutro naszej turystyki. Tysiące namiotów, tysiące pływających pojazdów różnego rodzaju, od tratwy i roweru wodnego, do wspaniałej motorówki z przezroczystego plastyku i to produkcji krajowej. Piszący te słowa korzystał z taniego kajaku polskiej produkcji — „Delfin" (Produkcja „Legionowa" — wspaniałego zakładu, który uwzględnia reklamacje i po roku dokonuje naprawy pneumatycznych komór) za jedyne 1.800 złotych i mając zapewnione stuprocentowe bezpieczeństwo przemierzył nim całe Pojezierze, hasał po falach Bałtyku i to... bez karty pływackiej.

W ogóle o sprzęcie turystycznym rodzimej produkcji trzeba mówić w samych superlatywach. Powiewne namioty, które wraz z dmuchanymi materacami i setką innych klamotów zabiera się na zwykły rower, składaki wszelkiego typu i rodzaju, przybory dla płetwonurków — oto jaki skok naprzód. Ale nie to jest najważniejsze. W Dolinie Wielkich Jezior Mazurskich, obok erotomanów i ich „ciziek", tysiące odpoczywających na różny sposób starych i młodych ludzi, studentów, naukowców i — co najbardziej cieszy — coraz więcej robotników. A w namiocie, proszę państwa, tanio jak w domu, czy na wsi u krewnych i na pewno przyjemniej niż w domach wczasowych czy orbisowskich. Istnieje tylko jedno ale... Ale za drogie są środki lokomocji (samochody, motocykle itp.) i kolej winna być tańsza. Choćby w czasie wakacji... Tyle przy okazji tegorocznego „Rocku na Czarciej Wyspie", o którym milczą nawet komunikaty PAP-u.

TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

Wieczór nad baśnią

Uboga w malownicze wydarzenia Łódź rolnicza żyła chętnie sensacjami urojonymi, posiadała wcale obfitą baśń i legendę z pogranicza hagiografii i kryminalistyki. W Łodzi wielkoprzemysłowej opowieści o brodatych pustelnikach pokutujących za straszliwe swe winy i o umarłym kwestarzu — ustąpiły miejsca posępnym historiom o fabrykantach pokumanych z diabłem czy zgoła o fabrykanto-diablach.

Baśnie i legendy łódzkie nie znalazły we właściwym czasie swego Kolberga, kilka z nich ocalili sporadyczni zapisywacze i trawestatorzy: Oskar Flatt, Wiktor Dłużniewski i Stanisław Rachalewski.

Wspominam o tym dlatego, że w świeżo wydanym zbiorze gawęd Leona Gomolickiego: „Wieczory nad Łódką" cykl zatytułowany „Baśnie robotnicze" stanowi dość liczną i wyróżniającą się grupę.

Baśnie te nie są jednak ani zapisem jakichś nieznanych a szczęśliwie ocalałych materiałów, ani też trawestacją rzeczy dawniej opublikowanych. Są to, jak stwierdza autor w posłowiu, przeważnie wolne interpretacje wątków wykoncypowanych. Fakt ten, jak również stosowanie narracji w pierwszej osobie, która nie jest ani trochę osobą autora lecz gawędziarzem - profesjonalistą, ustalałby z grubsza gatunek literacki tego cyklu — gatunek niezwykły, bo apokryf.

Jeśli tak, to oddawszy należne uznanie interesującemu eksperymentowi, należy pochylić się nad książką i zbadać czy apokryf — jak głośne apokryfy w średniowieczu bądź mistyfikacje doby romantyzmu — udaje do złudzenia pierwowzór, oryginalną baśń ludową, czy przeciwnie, przejawia uchybienia rzeczowe i stylistyczne, które skwituje się okrągłym zdaniem wyrażającym naszą recenzencką wobec tych utworów dezaprobatę.

Baśń ludowa, jak wiemy, jest mimo dziwności, utworem w gruncie rzeczy realistycznym. Niemożliwe nie sięga tu bynajmniej w nieskończoność, posiada dość wyraźne granice. Obowiązuje tu ponadto pewna jednolitość techniki obrazu i rodzajów deformacji.

Czy baśnie Gomolickiego przestrzegają owych rygorów?

Przekonamy się, streściwszy którąś baśń dla przykładu. A więc „Ukradzione płótno".

Zawiązanie intrygi stylowe, „bezbłędne". Ropucha rewanżuje się dobrej dziewczynce robotniczego pochodzenia i daje jej przepis na utkanie przepięknego płótna. Płótno zostaje w tajemniczy sposób skradzione. Ropucha każe się dziewczynce konwencjonalnie umieścić w fartuszku i dawaj w pogoń za złodziejem. Nagle zupełnie nieoczekiwana przerwa i zmiana konwencji o 180 stopni. Ropucha każe dziewczynce iść na trzy lata do tkalni. Dziewczyna opuszcza zakład jako pełnokwalifikowana tkaczka o odpowiedniej świadomości klasowej.

I znów jak poprzednio, spóźniona o 3 lata, a więc, na zdrowy rozum biorąc, irracjonalna pogoń za tajemniczym złodziejem. Teraz prawie realistyczna scena aresztowania dziewczyny przez kozaków. Dziewczyna staje przed obliczem „kata-żandarma" (gwałtowne spotęgowanie deformacji — obraz baśniowo-kannibalistyczny; olbrzym z szeroką brodą ufarbowaną na czarno francuską farbą, na piersi ordery, w zębach noga barania). Olbrzym każe dziewczynkę rozstrzelać, wtedy żaba zmienia się chytrze w brylant-łapówkę. Jest to wykroczenie przeciwko konwencji baśniowej — istota żywa nie zmienia się tam w przedmiot martwy, bo nie mogłaby się później odczarować.

Po szeregu przygód, na przemian realistycznych i fantastycznych, wszystko się wyjaśnia. Płótno odnalezione w safesie fabrykanta niosą w pochodzie robotnicy jako symboliczny czerwony sztandar, a morał baśni służy wyjawieniu mechanizmu wartości dodatkowej.

Dziwa przekraczają więc zdecydowanie granice nieprawdopodobnego, jakie wyznacza im realizm twórczości ludowej, przypominają w wielu wypadkach fantasmagorie nie kontrolowanych przez świadomość marzeń sennych. Podobnie i kompozycja: rwące się obrazy — wydarzenia o rozluźnionej więzi logicznej następują po sobie jakby w oparciu o logikę kojarzeń sennych.

Baśnie Gomolickiego są więc jedynie częściowo apokryfami. Zapożyczenia znanych motywów baśniowych służą do zawiązania i przeprowadzenia z grubsza intrygi.

Warstwę folklorystyczną związał natomiast Gomolicki wcale umiejętnie z nowoczesną baśnią typu nadrealistycznego, podobnie, jak swego czasu czynił Leśmian w swych trawestacjach baśni z tysiąca i jednej nocy.

Interesujące skądinąd komplikowanie baśni nie jest tu zabiegiem formalistycznym, ma charakter ściśle funkcjonalny. Nadrealistyczna technika obrazowania i odracjonalizowanie kompozycji nie tylko wzbogaca utwór fabularnie i czyni go interesującym dla dorosłego czytelnika (zafrapowanymi odbiorcami baśni rzeczywiście ludowych są dziś tylko dzieci i etnografowie), ale znakomicie ułatwia przeprowadzenie złożonego problemu. Konwencje oryginalnej baśni ludowej, skrępowanej archaicznymi rygorami stawiłyby tu autorowi opór nie do przezwyciężenia.

Sama zaś idea zademonstrowania czytelnikowi właściwości folkloru robotniczego nic na tych modyfikacjach nie traci. Zostało go w baśniach Gomolickiego wystarczająco wiele: m. in. cały specyficzny klimat fantastyki robotniczej, kapitalne w swej groteskowej „demoniczności", właściwe bodaj tylko dla Łodzi postacie diabłów fabrykanckich i fabrykanto-diabłów.

Tyle — i bardzo pozytywnie — o „Baśniach robotniczych".

Gorzej jest z gawędą nie-fantastyczną.

Przesadne przerysowywanie postaci fabrykanta (nowela „Kryga") czy wyobcowanego klasowo fabrykanckiego lokaja („Ofiara przeciwieństw"), chociaż dokonane na koszt rzekomego prostoduszne go opowiadacza w gawędzie realistycznej, nie podpartej umownościami baśni, razi i bije w autora. Razi też dość natarczywe wprowadzenie rewolucji i martyrologii klasy robotniczej do liryczno-groteskowej w trzech czwartych gawędy o sympatycznym dziwaku Szkocie-wynalazcy („Tramwaj Parowy"). Na nowelach tych, pisanych przed dobrymi kilku laty, odbiły się wyraźnie złe gusta okresu. Jest jednak szereg nowel wytrzymanych do końca, o przekonywającym rysunku psychologicznym, interesującym, niebanalnym kolorycie lokalnym jak „Ulotka", „Misja specjalna", czy „Bajka z karnawałem".

Leon Gomolicki „Wieczory nad Łódką". Wydawnictwo Łódzkie, 1959 r.

OSTATNI DZIEŃ POKOJU

Dalszy ciąg ze str. 1

mimo ostrzeżeń sojuszniczych sił Hitler parł do wojny.

Właściwie wszystko było już jasne. Wojewoda i prezydent miasta wezwali społeczeństwo łódzkie do samoobrony, rowy wykopano, zarządzono w Łodzi pogotowie obrony przeciwlotniczej, wezwano ludność, by zaopatrzyła się w **„żelazny zapas żywnościowy"**, przeprowadzono pobór koni, wozów, pojazdów mechanicznych i nawet rowerów.

Ale Anglia podjęła się w ostatniej chwili pośrednictwa, ożyła nadzieja pokoju... Może wojny nie będzie? Daj Boże!

Żal było tego ostatniego dnia pięknego lata. Trzydziesty pierwszy sierpnia! Niebo ciepłe i roziskrzone gwiazdami, tak czyste jakby idealnie obojętne na ludzkie namiętności. I na cierpienie.

Podniosłem głowę i ogarnąłem ten nieskazitelny wyż tęsknym spojrzeniem. Żal lata, żal tego nieba.

Niewzruszony spokój tam w górze nie zdradzał tajemnicy przyszłych ziemskich losów. Czyżby wszystko miało się skończyć z tym ostatnim dniem lata? Zamknąć się nieodwołalnie?

Zerknąłem ze współczuciem na Rafała. Był więcej zagrożony niż ja. Syn znanego bundowca działacza Izaaka Lichtensztajna, komunizujący pisarz. Imię i nazwisko w sam raz dla hitlerowców — pomyślałem. No, może ukryje się, przetrzyma. Rafał nie miał semickich rysów. Ładny chłopak. Dziewczyny mówiły o nim „polski Garry Cooper". Zmieni nazwisko. Może go ominie getto. Przeraziłem się. Boże, o czym ja myślę?

Zresztą, może wcale nie będzie tak źle. Jakiś popularny u nas publicysta pisał, że niby **„nie szarpiemy się w matni paktów, konferencji, projektów i dziwnych układów... Naszym aktem politycznym było wzięcie łopat i kopanie rowów"**. Jesteśmy silni.

Powtórzyłem na głos tytuł tej publikacji, ale zabrzmiał on jakoś bez związku.

— Na trzeźwo i z łopatą!

Rafał spojrzał na mnie zdziwiony.

— No, cóż chcesz — odparłem, choć on wcale ze mną nie dyskutował — sto tysięcy ludzi kopało przeciwlotnicze rowy. Ci sami, co tak po szlachecku swarzyli się i do oczu sobie skakali, teraz zgodnie chwycili się łopat. Manifestacja jedności! A jaki demokratyzm!

Rafał wtrącił:

— Grzegorz, przynajmniej ty nie bądź bogoojczyźnianym demagogiem.

— A właśnie że demokratyzm, demokratyzm — upierałem się — wojewoda i gazeciarz, prezydent miasta i tkacz, profesor uniwersytetu i handlarz domokrążca. Sto tysięcy ludzi kopało rowy.

Rafał podsunął mi pod oczy wczorajszą gazetę. Znalem to już, ale przeczytałem jeszcze raz, **„W Parku Poniatowskiego entuzjazm osiągnął szczyt, kiedy pan wojewoda na odcinku Związku Legionistów osobiście zaczął kopać ziemię. Z kolei lustrowano roboty w Parku Ludowym, gdzie pracował Związek Rezerwistów przy dźwiękach orkiestry"**.

— Entuzjazm jest potrzebny — zauważyłem — obojętnie co go wyzwala.

— Niezupełnie — rzekł Rafał. — Rozumiem, że robi się zbiórkę publiczną na zakup napoi chłodzących dla kopiących rowy. To nawet ładnie. Ale byłeś wczoraj na Piotrkowskiej, widziałeś?

Chodziło o to, że później związki kombatanckie przemaszerowały z łopatami przez Łódź, a zgromadzona na chodnikach publiczność zgotowała im, jak to się u nas mówi, spontaniczną owację. Jednocześnie robiono zbiórkę na łopaty.

— Artykuły w gazetach pt. „Dziejowa misja Polski" i zbiórka na łopaty. Misja i łopaty. Grzegorz, Grzegorz! — Rafał zawołał prawie z rozpaczą.

Ostrzegawczym ruchem nachyliłem się w jego stronę. Tak mówić o akcji z łopatami? To się teraz nazywało **„lekceważące wyrażanie się o państwie polskim"**. Ktoś gdzieś zakpił sobie z tych łopat i pojechał do Berezy.

Ale Rafał zdawał się nie widzieć mego gestu. Zresztą, przy sąsiednich stolikach dyskutowano równie zawzięcie i nikt nie interesował się tym, co mówią w pobliżu. I tak wiadomo, że o wojnie.

Rafał mówił z przejęciem:

— „Specjalne grupy konstruktorów zabezpieczają rowy przeciwlotnicze". Ho, ho, jak to się przemyślnie określa. A chodzi po prostu o to, że rowy należy nakryć deskami, papą i przysypać piaskiem. Kiedy już ten piach łopatami przyklepią, powiadają, że „Łódź — to obóz warowny". Głupota, szaleństwo czy zbrodnia?

Właściwie zgadzałem się z nim, ale chciałem pozostawić sobie trochę otuchy.

— Rowy — powiedziałem — mogą się na nic nie przydać, ale są potrzebne jako zabieg psychologiczny. Dają poczucie jedności, gotowości obrony...

— Na to nie trzeba rowów. Polska jest na wszystko gotowa, tylko czy sojusznicy...

Znów wróciliśmy do tego samego miejsca, z którego nikt nie chciał spojrzeć w przepaść.

Po chwili milczenia zauważyłem, że przecież cała Europa zmobilizowała się, a słuszność jest po naszej stronie.

— Słuszność, to na pewno. Tylko czy słuszność wystarcza?

— Więc? — zapytałem, choć pytanie było bez sensu.

Rafał powtórzył słowa z odezwy prezydenta miasta, Kwapińskiego:

— „Armia nasza najjaśniejsza, gwarantka naszej niepodległości wyjdzie naprzeciw wrogowi i niewątpliwie zwycięży. Zwycięstwo bowiem musi być po stronie słuszności i sprawiedliwości, a nie po stronie pychy i gwałtu".

Przyjrzałem mu się bacznie. Nie ironizował. Tylko rozpaczliwie chciał przekonać siebie.

* * *

Rafał mieszkał nieopodal na Piotrkowskiej. Mimo późnej pory ulice były dość jeszcze tłumne. Przy kioskach z papierosami brawurowali oficerowie. Zauważyłem, że niektórzy byli mocno pod rauszem, choć w mieście zamknięto sporo restauracji za potajemną sprzedaż alkoholu. Obowiązywała trzeźwość. Zarządzenie słuszne, lecz co tam żałować wojsku. Dziś człowiek żyje, jutro nie. Czasem ulicą przemknął wojskowy samochód zamaskowany na dachu gałęźmi. Mimo wstrzymania mobilizacji? No, no! Mury były oblepione sloganami „Silni, zwarci, gotowi" i wezwaniami do wpłaty na Fundusz Obrony Narodowej lub Morskiej. „Pierwszy ścigacz musi być darem Łodzi i województwa łódzkiego!" Slogany i hasła swoją drogą, ale żywy patriotyzm czuło się wśród ludzi wyraźnie. Do redakcji zgłaszali się ochotnicy na „żywą torpedę". Choć czas nie był stosowny, uśmiechnąłem się z rozbawieniem. Jakiś kupiec ogłosił charakterystyczne oświadczenie: **„Wpłacam na Fundusz Obrony Narodowej**

sto złotych i wzywam mego wspólnika, aby się zgłosił na żywą torpedę". Wisielczy humor!

Mijaliśmy wielki plakat z nadrukiem **„Gwałt zadany siłą musi być siłą odparty".** Po prawej stronie postać Rydza i napis-przykazanie: „W wypadku wojny każdy mężczyzna bez względu na wiek i każda kobieta będą żołnierzami". Po lewej stronie plakatu maszerowała piechota, toczyły się czołgi, na horyzoncie widniało morze i płynęły okręty. Górą jakby z marszałkowskiej głowy wylatywały samoloty.

Wtem przypomniałem sobie oddział wojska parę dni wstecz na ulicy Żwirki. Że armię przesuwano nocami na zachód, o tym wiedziałem. Słyszałem dudnienie kół, tupot nóg. Ale ten oddział zobaczyłem w dzień, w jaskrawym blasku słońca i w całej oczywistości. Żołnierze szli pieszo, zdrożeni, okryci kurzem, niewiarygodnie zmęczeni. Nie wyglądali na przyszłych zwycięzców W końcu długiej kolumny tłukły się trzy furgony, zaprzężone w chude chabety. Chciałem krzyknąć: „Niech żyje wojsko polskie! Bić Niemców!" — ale się zawstydziłem. Przecież to oni będą umierali, nie ja. Przechodnie przyglądali się tej „defiladzie" w ciszy, z przygnębiającym współczuciem.

Ten obraz wynurzył mi się teraz wyraźnie przed oczami. Nie będzie źle? Pokręciłem w rozterce głową.

Rafał zauważył mój gest. Może myślał o tym samym?

— W każdym bądź razie, Grzegorzu, trzymamy się razem.

— Trzymamy się razem, oczywiście.

Uścisnąłem mu mocno rękę. Polski Garry Cooper. Ale gdzie mu teraz do dziewuch!

Rozeszliśmy się. Los zrządził, że było to nasze ostatnie spotkanie.

Poszedłem na Gdańską do matki. Tu mieszkałem po śmierci mej żony.

Prawie już dochodziłem, gdy przeciągle zawyły syreny. Próbny alarm lotniczy.

Na ulicy i w domach zgasło światło. Tylko od latarń przy bramach i od reflektorów samochodów osłoniętych niebieskim celofanem pełgały po kamieniach błyski. Ludzie śpieszyli do bram. Na rogach ulic, na niektórych dachach domostw pojawiły się natychmiast opeelowskie warty. Miasto zamarło. Pogrążyło się w ciemności.

— Pan jeszcze na ulicy. Do bramy, do bramy — ofuknął mnie ktoś z obywatelskiej warty. Miał na rękawie opaskę OPL'u.

— A ja właśnie tu mieszkam — odparłem i szurnąłem do domu pod numerem 143.

Matka otworzyła mi drzwi zatroskana.

— Gdzie tak późno chodzisz? Tylko nie zapalaj światła. Wprawdzie na oknach zasłony, ale może przeświecać na ulicę. Nie chcę mieć wstydu.

— A gdzie Natasza?

— Jak to gdzie? — zdziwiła się matka. — Gdzie może być, jak nie w szpitalu.

Siostra pracowała jako pielęgniarka w szpitalu wojskowym przy Żeromskiego. Wiedziałem, że szpital przygotowywał się do przyjęcia pierwszych rannych.

— Głodny jesteś? — zapytała matka.

— Dziękuję, jadłem.

Rozebrałem się szybko i położyłem do łóżka. Matka przysiadła się w milczeniu.

— Tak to, synku, tak, tak... — powiedziała po chwili.

— Co tak? — zapytałem zirytowany, że matka traktuje mnie jak małego chłopca.

— Wojna, znowu wojna!

— Ależ, mamo, co znowu!... A nawet gdyby, to my zwyciężymy.

Matka milczała. W ciemności nie widziałem jej twarzy.

GRZEGORZ TIMOFIEJEW

Za tydzień na naszych łamach

- **SARAJEWO I GDAŃSK**
- **WIERSZE DLA DZIECI**

oraz

kolumna V — tajne — секретно — confidential — geheim — secret

- **PAMIĘTNIK SZPIEGA**
- **WALKA DYWIZJONU MYŚLIWCÓW – ARMIA „ŁÓDŹ"**

KRZYSZTOF ANTONI MAZUR

Nie znacie, to posłuchajcie...

Przed intronizacją muzyki

W sali koncertowej krzątają się robotnicy, kończący wakacyjną kosmetykę wnętrza. Orkiestra, jeszcze zdetronizowana, ćwiczy tymczasem w świetlicy na parterze; dźwięki próby orkiestrowej biegną z nieoczekiwanego miejsca i jakby rykoszetem przelatują się przez obszerny i pusty gmach Filharmonii. Zbliża się nowy sezon koncertowy, jeszcze jeden rok muzycznych przeżyć, nowin, sensacji, plotek...

Przeglądam plan repertuaru Filharmonii Łódzkiej w nadchodzącym sezonie. Spięte zszywką bibułki maszynopisu kojarzą mi się — nie wiedzieć czemu — z jakimś najtańszym wydawnictwem arcydzieł literatury. Suche szeregi dat, nazwiska artystów, wykazy utworów, przemienią się wkrótce w żywe wrażenia muzyczne. Martwy spis kryje w sobie istotę naszych przyszłych obcowań z muzyką.

Przypominają mi się rozmaite występy i wykonania z przeszłości, chociaż może nie pora ku temu, choć słuchacze chcą myśleć nie o tym, co było, ale o tym, co będzie. Ale warto pamiętać, że w latach pięćdziesiątych Filharmonia Łódzka sięgnęła do wielkiego repertuaru, zapoznała z utworami nigdy u nas nie słyszanymi, zaprezentowała wielu wybitnych artystów, słowem wyszła całkowicie z kręgu prowincjonalnego. Można by cytować dziesiątki wybitnych dzieł symfonicznych i kantatowych, które całkowicie przeobraziły skromny na początku repertuar łódzkiej placówki. Rozszerzenie repertuaru i horyzontów w przeszłości jest kluczem do założeń nadchodzącego sezonu.

Sezon ten w zamierzeniach wprowadza po pierwsze: szereg ambitnych, nieznanych u nas pozycji, po drugie: śmiało sięga do muzycznej nowoczesności.

Już inauguracyjny koncert, 4 września, pod dyrekcją Henryka Czyża, jest znamiennym przykładem obu powyższych założeń. Program: „Concerto giocoso" Michała Spisaka, „Les Illuminations" Benjamina Brittena i VI Symfonia Dymitra Szostakowicza — to wszystko dzieła u nas nie wykonywane i należące do muzyki nowoczesnej.

W tydzień później koncert pod dyrekcją Stefana Marczyka przyniesie wykonanie słynnej, wstrząsającej kantaty „Ocalały z Warszawy", kompozytora Arnolda Schoenberga. Ojciec dodekafonizmu, Schoenberg, osnuł utwór na opowieści Żyda ocalałego z pogromu hitlerowskiego w getcie warszawskim. Po upływie jeszcze jednego tygodnia usłyszymy z kolei przykład wczesnej twórczości Schoenberga w postaci utworu orkiestrowego pt. „Rozjaśniona noc".

Najbardziej chyba reprezentacyjne dzieła wokalno-symfoniczne, którym w ubiegłych sezonach poświęcano dużo uwagi, i w tym sezonie nie będą zaniedbywane. Chór Wyższej Szkoły Muzycznej przygotuje głośną kantatę współczesnego kompozytora niemieckiego Carla Orffa „Catulli carmina", opartą na erotykach rzymskiego poety Catullusa. I wreszcie nie tylko arcyważne, lecz przede wszystkim z prawdziwym wzruszeniem oczekiwane pierwsze w Łodzi wykonanie cudownej III Symfonii Karola Szymanowskiego z udziałem chóru Filharmonii.

Skoro mowa już o muzyce polskiej, to oprócz umieszczonego w koncercie inauguracyjnym „Concerto giocoso" Spisaka (słyszałem w Warszawie — naprawdę świetny!), oprócz III Symfonii Szymanowskiego, usłyszymy ponownie już dobrze znaną i lubianą IV Symfonię „Koncertującą" Szymanowskiego i pokaźną liczbę nowych dla nas utworów współczesnych kompozytorów polskich. IV Symfonia Stanisława Skrowaczewskiego (pod własną dyrekcją kompozytora przy okazji gościnnego koncertu w Łodzi), prawykonanie nowej III Symfonii łódzkiego kompozytora Tomasza Kiesewettera, Symfonia Czesława Marka, zdobywająca światowy rozgłos. „Muzyka żałobna" Witolda Lutosławskiego to tylko niektóre z zapowiedzianych pozycji polskich.

Zaprojektowano szereg wykonań utworów uznanych jako klasyczne pozycje współczesności (wymieńmy tu dla przykładu Suitę z baletu „Dafnis i Chloe" Maurycego Ravela), będzie dobrze reprezentowana twórczość tak ważnych przedstawicieli muzyki naszego wieku jak Bela Bartok, Benjamin Britten, czy Dymitr Szostakowicz.

Nowości muzyczne nie ograniczą się jednak do wykonań utworów najnowszej daty. Powróćmy do działu muzyki wokalno-symfonicznej, ponieważ tam, oprócz wspomnianych pozycji XX wieku, przewiduje się wystawienie słynnych, a jeszcze nie zaprezentowanych publiczności łódzkiej kantat i oratoriów. Przede wszystkim trzeba zwrócić uwagę na zapowiedź wykonania „Dzwonów" Sergiusza Rachmaninowa, kompozytora rosyjskiego, przedstawiciela kierunku neoromantycznego w jego najdojrzalszej postaci. Chóry szkolne przygotują dwie pozycje muzyki dawnej: „Judasza Machabeusza" Jerzego Fryderyka Haendla i „Stabat Mater" Pergolesiego.

A więc to wszystko śmiało wkracza na nowe i ważne obszary muzycznych zasobów repertuarowych. Cieszymy się z tego i mamy nadzieję, że te wszystkie cenne pozycje literatury muzycznej zostaną przedstawione słuchaczom. Oczywiście, oprócz nowości, nie brak i tradycyjnych pozycji koncertowych, są to jednak przede wszystkim znane utwory romantyzmu XIX wieku, dzieła Czajkowskiego, Schumanna, Brahmsa.

Natomiast ubogo przedstawia się w repertuarze muzyka klasyczna. Beethoven reprezentowany jest dość skromnie trzema symfoniami i dwoma koncertami, Mozart jeszcze skromniej jednym koncertem fortepianowym, a najskromniej Haydn, bo ani jednym utworem (chociaż rok Haydnowski nie skończył się jeszcze). Oczywiście nie można żądać zbyt wielu „grzybów w barszczu", ale moim zdaniem może byłoby warto zrezygnować z niektórych znanych pozycji literatury romantycznej na rzecz zwiększenia klasyki, która z całej muzyki tradycyjnej jest chyba najbardziej istotna, cenna i kształcąca. Skoro Filharmonia pamięta o mniej nowinkarsko nastawionych słuchaczach i powtarza znane pozycje programowe, to chętnie umieści w programie choćby kilka tak przez łódzką publiczność lubianych utworów Mozarta.

Oczywiście dla słuchaczy, oprócz spraw repertuarowych, ważny jest również udział wykonawców. I w tym sezonie, jak w poprzednich, wystąpi na naszej estradzie cała czołówka polskich dyrygentów i popularni soliści: Stefania Woytowiczówna, Halina Czerny-Stefańska, Barbara Hesse-Bukowska, Lidia Grychtolówna, Jan Ekier Regina Smendzianka. Już zapowiedziano występ zagranicznych artystów, skrzypków Idy Haendel, Leonida Kogana, pianistów Valentina Gheorgiu, Annie Fischer, Denisa Matthewsa, Michelle Auclaire, dyrygentów Henri Arendy, Franco Autoriego, Bogo Leskovica i Athanasa Margaritova. Prowadzi się uporczywe starania o występ w Łodzi Rubinsteina i ponownie Malcużyńskiego, jeśli zgodnie z obietnicami przyjadą w przyszłym sezonie do Polski. Ale to są nielatwe sprawy.

ELŻBIETA WRÓBLEWSKA

O IGRASZKACH I FRASZKACH

Niewielki tomik Igora Sikiryckiego podzielony jest aż na pięć części. Zawiera więc „Ballady i niuanse", „Fraszki", „Humoreski" (prozą) i „Igraszki". W całym zbiorze dominuje jednak wspólny nastrój, rys zasadniczy, który ważny jest dla charakterystyki autora (w tym wypadku pod nazwą autora rozumiem stworzoną przez niego konwencję). Wspomniany nastrój najlepiej chyba określa tytułowa nazwa „Igraszki". Igranie oznacza lekkość i niefrasobliwość. Igrać można tylko z czymś, co ma mały ciężar gatunkowy.

U Sikiryckiego wszelkie sprawy i wydarzenia mają wagę zupełnie znikomą. Autor najczęściej chwyta jakiś motyw już z natury swej dość błahy i jeszcze do tego igra z nim i wokół niego. Mimo to jednak wyraźnie widać, że te błahostki mają aspiracje, żeby być odpowiednikami czegoś bardziej serio. Zawierają powagę w zalążku. Jest to jednak powaga dziecięca i dlatego śmieszna.

Porzućmy jednak na razie uwagi syntetyzujące i zajmijmy się poszczególnymi rodzajami, reprezentowanymi w tomiku. Jaką postać mają utwory, nazwane przez autora balladami? Otóż są to zabawne historyjki, opowiadane w sposób nieskomplikowany i naiwny trochę starszym dzieciom. Opowiadającego cechuje przy tym wyraźna skłonność do przesady. Pisze na przykład, że wiecznie dzwoniący telefon doprowadził swojego właściciela do „aż takiej" rozpaczy, że powiesił się na telefonicznym drucie. Albo kreśli tragiczny koniec fatalnej znaczkomanii dwóch przyjaciół:

„Szli wolniutko po schodach (winda ciągle popsuta)
Jakże można iść prędko,
kiedy znaczki i w butach?
Anioł śmierci ich spotkał
(każdy składa wszak mu dar),
Więc natychmiast umarli
na osłabłych serc udar".

W ten sposób uzmysławia się dzieciom doniosłość wydarzeń, aby ją należycie pojęły: barwnie, fabularnie i przesadnie.

Naturalnym wynikiem takiej „zdziecinniającej" konwencji jest zamiłowanie do efektów dźwiękowych. Autor wyraźnie cieszy się, jeśli natrafi na podobieństwo brzmieniowe słów i może się nimi trochę pobawić.

„Raz się Tytus w Tacycie
zaczytał,
Mądrość kart zapisanych
trawiąc,
Mały Teoś tatusia zapytał,
Tekturowym tramwajem
się bawiąc:
„Tato, tato! Co tato cyta?
Tytus odparł: „Cytat z
z Tacyta".
(„Cytat z Tacyta")

Czasem jednak autorowi wyraźnie zaczyna ciążyć infantylizm, ponieważ nie zawsze infantylnym być wypada. Porzuca wtedy konwencję „zdziecinniającą" i próbuje przemówić bezpośrednio, dorośle. Ale wtedy prostota zamienia się w nieudolność. Prosta forma opisu, która pasowała świetnie do historyjek zbagatelizowanych, razi przegadaniem przy relacji bardziej serio potraktowanych zdarzeń, jak skandal z balonem w Izdebnej, albo problem eksploatacji biustu Lollobrigidy.

Nieco podobnie jest zresztą w bajkach. Każda z nich zawiera na końcu morał i to morał raczej ciężkiego kalibru. Nie są to już igraszki słowne z gatunku tych, że z certą nie można się certować, ale błyskotliwość raczej mozolna. Przykładem bajeczka o paskarzu. Był paskarz, kupił swojej żonie pas cnoty, żona go owym pasem zabiła i morał z tego taki, że „kto paskiem wojuje ten paskudnie zginie". Jeśli spojrzymy na umieszczoną poniżej datę (1948), łatwo pojmiemy, że zapał humorystyczny autora miał prawdopodobnie w tym wypadku podłoże gospodarczo-ideologiczne.

Fraszki bywają u każdego autora lepsze i gorsze. Prócz tego można podzielić fraszki na takie, które właściwie już były, oraz na nowe. W tomiku Sikiryckiego na uwagę zasługują fraszki graniczące z absurdem.

Chodziła Leda z łabędziem
nad rzeką,
Więc ją strofowano: „Nie
zajdziesz daleko"!
No, a Leda właśnie na
przekór teorii,
Ze swoim łabędziem zaszła
do historii.

Absurdalny humor cechuje również najbardziej udaną humoreskę „Dowcipniś".

Sikirycki był między innymi, humorystą okolicznościowym. Wprawdzie tłok w tramwaju, czy psychologia dyrektora są to tematy równie aktualne jak niegdyś, ale dowcipy na temat ten nikogo już nie śmieszą, ponieważ konwencja humoru jest dziś zupełnie inna. Niemniej każdy jego gatunek ma prawo przejść do historii.

O tym, że talent nie zawsze chodzi w parze ze stanowiskiem społecznym, wiemy dobrze. Każdy z nas dysponuje wystarczającym zasobem życiowego doświadczenia, aby z potwierdzającym potakiwaniem przywołać z pamięci jeden bodaj przykład inżyniera, lekarza, księdza czy po prostu zwierzchnika, jako ilustrację mniej lub więcej smutnych skutków braku talentu na stanowisku.

Tym razem jednak chodzi nam o zjawisko wręcz przeciwne: gdy bujna, twórcza, błyskotliwa myśl, nieprzeciętna zdolność obserwacji i kojarzenia, znajdą się w powłoce — powiedzmy — zwykłego bankowego portiera. Na pozór błahy problem, kwitowany ludowym powiedzeniem, że „od przybytku głowa nie boli", nie doczekał się jeszcze należnej mu rangi, a również niewątpliwe jak smutne jego skutki będziemy mieli sposobność poniżej przedstawić.

Pan Michał S. obdarzony był talentem, inteligencją, zdolnością bystrej obserwacji. Stanowił żywy wzór utajonych możliwości, których, jak to się mówi, ziarno rzucone w żyzną glebę, dałoby zapewne piękne owoce. Szkopuł w tym, że pan Michał nie miał ani zawodu, ani fachu, ani wykształcenia. Młodość zostawił w dalekiej wsi przedwojennej Polski „C". Nie miał nic, o co mógłby się zahaczyć w życiowym starcie. Formalne kwalifikacje rozpatrywane bezdusznie od biurka okazały się zaledwie wystarczające na przydział uniformu portiera w Narodowym Banku Polskim.

Nikt nie odkrył naszego bohatera. Nikt nie podsunął mu bodaj myśli, że mógłby daleko i wysoko...

Tak więc pan Michał S. został funkcjonariuszem państwowym, a do jego czynności oprócz reprezentacji należało jeszcze chodzenie po papierosy dla młodszych referentów i zaparzanie herbaty kierownikowi.

Rozumiecie Czytelnicy, że były to zajęcia dalece nie kompensujące umysłowych potrzeb i możliwości pana Michała. A ponieważ „natura nie znosi próżni", inwencja umysłowa naszego bohatera obróciła się w pogardę dla urzędniczej zwierzchności, a tym samym spowodowała zanik wszelkich aspiracji społecznego awansu oraz namiętne pragnienie odegrania się na otoczeniu w sposób równie złośliwy jak zmyślny.

W konsekwencji pan Michał postanowił zrobić grubszą malwersację, która oprócz odpowiedniej moralnej satysfakcji dałaby mu jeszcze niezły profit.

Raz powzięta myśl, poddana twórczemu fermentowi intelektu, wydała owoc w postaci cudownie precyzyjnego planu sfałszowania i zrealizowania czeku bankowego. Zważywszy (uwagę tę wpisujemy znając, niestety, ludzi), że niejedna bankowa, i to pewnie nie portierska, głowa taką myślą się parała, otrzymamy w efekcie stopień inteligencji pana Michała

A oto plan i wykonanie.

Po długim czekaniu na sposobność pan Michał spotyka się wreszie sam na sam z pakietem książeczek czekowych Wojewódzkiego Oddziału Banku Rolnego w Łodzi. Pokusa jest ogromna, ale roztropność pozwala wydrzeć panu Michałowi tylko jeden blankiet z tylko jednej książeczki.

Z blankietem tym następnie udaje się do swojego szwagra, Józefa W., który aż w Zielonogórskiem piastuje godność magazyniera PGR. Targ w targ, za obietnicę 20 tys. szwagier wypożycza pieczątkę. Teraz — uwaga! — pan Michał odciska z niej tylko napis „Państwowe Gospodarstwa Rolne". Resztę przemyślnie zakrywa papierkiem.

Wraca natychmiast do Łodzi i uzupełnia pieczątkę tekstem „Zarząd w Łodzi" wyciętym z jakiegoś zdeaktualizowanego spółdzielczego stempelka. Oczywiście przedtem zaopatrzył się we własną poduszkę do tuszu, a oba stempelki starannie mył przed użyciem i sprawdzał kolor. I pomyśleć, proszę Państwa, że nikt go przedtem tego nie uczył.

Mając spreparowaną najważniejszą część czeku dość szybko napotkał dalsze okazje. Po godzinach biurowych, zbierając szklanki z biurek referentów, mógł bez trudu odcisnąć takie stempelki, jak „Dziennik kasowy nr..." i „Podpisy sprawdzono". Parafki urzędników przynależne do każdej pieczątki starannie ćwiczył przez celofan na zrealizowanych czekach, które pomagał zszywać kasjerom.

Wszystko to oczywiście trwało i od chwili zdobycia blankietu do złożenia fałszywych parafek upłynęło półtora miesiąca. Pan Michał nie spieszył się, za to działał bezbłędnie.

Przyszedł wreszcie czas dla dokonania ostatniego aktu. Z tychże porządkowanych czeków pan Michał dowiedział się, że fundusz płac owego Zarządu Łódzkiego PGR zamyka się w granicach 380.000 złotych. Po krótkiej rozmowie z kuzynem Kazimierzem, wciągnął go do spółki i polecił mu wypełnić czek na sumę 372 240 złotych (żeby było trudniej zgadnąć!) oraz sfałszować podpisy, które uprzednio również przeniósł na celofan.

Gdy wszystko było już gotowe kuzyn poszedł do banku i działając zgodnie z instrukcją pana Michała zręcznie podrzucił czek rejestratorowi. Dalej — drogą służbową — czek dostał się do kasy i stąd bez kontroli dokumentów (która, jak powszechnie wiadomo, obowiązuje przy podejmowaniu z PKO głupich pięćdziesięciu złociszów) wypłacony co do złotówki!

Teraz całą forsę, perswadując kuzynowi cierpliwość, ukrył pan Michał w piwnicy pod węglem, aby, jak powiedział „wyśmierdziała się".

Owo „wyśmierdzanie" trwało z górą dwa miesiące, w którym to czasie MO intensywnie poszukiwała sprawców. Trafiła jednak na nie byle jakiego franta, pan Michał bowiem korzystał właśnie z urlopu, a nawet najstaranniejsze obserwacje nie mogłyby ujawnić gwałtownej poprawy sytuacji majątkowej w jego rodzinie. Tak też sporo ludzi posiedziało sobie trochę na państwowym wikcie, ale pan Michał był poza wszelkimi podejrzeniami.

Jakoż po dwóch miesiącach sprawa zaczęła ucichać. Wprowadzono wprawdzie ostrzejsze rygory kasowe, ludziska trochę nieufnie na siebie patrzyli — ale wszystko znamionowało zakończenie śledztwa, o czym pan Michał mógł się przekonać z relacji zwolnionych aresztantów.

Nastąpił więc uczciwy podział łupu. Kuzyn Kazimierz wypłacił ze swej doli 10 tys. dla szwagra w PGR. Pan Michał dał nawet 13. Szwagier więc otrzymał więcej, dzięki czemu mógł ulec sugestii co do równości podziału. Jak wiadomo, skrzywdzeni wspólnicy są bardziej niebezpieczni niż wytrawny detektyw. Pan Michał rozumiał to wrodzoną inteligencją, boć psychologii nigdy nie studiował.

Banknoty powoli, a stale przyoblekały postać stopowo-życiowych realiów. Pan Michał zakupił samochód, puszczając go dyskretnie na taksówkę, aby pomnażał majątek. Pan Kazimierz, młodszy o dobre lat 20, nabył „Zündappa" z przyczepą oraz definitywnie podbił serce panny Janiny M., swej przyszłej żony, zapisując na jej nazwisko miły jednorodzinny domek z ogródkiem.

Tak żyło im się, proszę Państwa, pięć lat, jako że ów interes dokonany został we wrześniu 1953 roku.

Ale apetyt rośnie wraz z jedzeniem, łatwo zdobyty majątek szybko przestaje dawać satysfakcję, a możliwość jego pomnożenia, tak bardzo prosta w praktyce, wierci, świdruje w mózgu, nie daje spokoju. Otóż tu, przedziwną a nieubłaganą wyrocznią losu, jest wasza klęska, nieliczni szczęśliwi debiutanci! Wracacie do przestępstwa, jak morderca do swej ofiary.

Długo, przyznać to musimy, bystry umysł pana Michała opierał się coraz natarczywszym nagabywaniom zachłannego kuzyna. Kazik bowiem nie chciał w ogóle pracować i dość szybko spłukał pieniążki łącznie z „Zündappem", ocalając ledwie nieruchomości i to tylko dzięki nieubłaganej postawie małżonki, formalnie prawnej właścicielki.

Również pan Michał począł snuć plany szersze. Widział mu się domek pod Łodzią. Przydałaby się jeszcze jedna taksówka... Jakby nie było pięćdziesięcioletni człowiek sterany wojną ma prawo myśleć o tłustej emeryturze życiowej.

Toteż, gdy w październiku 1958 r. portier Michał Pietkun otrzymał do stemplowania książeczki czekowe, nie mógł oprzeć się pokusie wyrwania jednego blankietu. Potem długo deliberowali z Kazikiem, jak dalej czynić, bo w ciągu tych kilku lat wiele przepisów uległo obostrzeniu.

Od czegóż jednak inteligencja! Pan Michał znał się na procedurze bankowej tak dobrze, jak naczelnik oddziału. Bez trudu ustalił, że książeczka czekowa, z której wyrwał blankiet powędrowała do Łódzkich Zakładów Kartoniarskich. Tam też posłał kuzyna, który niby starając się o pracę skorzystał z chwilowej nieuwagi sekretarki i zręcznie odcisnął pieczątkę firmową na czeku oraz na arkuszu czystego papieru.

Pan Michał oczywiście sprawdził, czy to jest ta sama pieczątka, po czym starannie skopiował podpisy, a Kazik wypełnił czek na sumę złotych 382 tysiące.

Jak i poprzednio odciśnięcie wewnętrznych bankowych pieczątek i podrobienie parafek nie było trudne. Czek został jak najbardziej prawidłowo zaopatrzony we wszystkie niezbędne znaki, łącznie z numerkiem wywoławczym. Jedyny szkopuł, to kwestia tożsamości pobierającego pieniądze. Kazik zdobył więc jakoś dowód osobisty wystawiony na nazwisko Stefana O., po czym na to samo nazwisko wypisał upoważnienie posługując się uprzednio ostemplowanym w Zakładach Kartoniarskich papierem. Tak spreparowane dokumenty wręczył swemu koledze, Stanisławowi P., uprzednio „zgodzonemu" za czwartą część sumy.

Aby uprościć sprawę, tym razem pan Michał sam podrzucił czek bezpośrednio do kasy, podczas gdy Stanisław P. oczekiwał w hallu na wywołanie jego numerka

I tu nastąpiła nieprzewidziana komplikacja. Kasa bowiem otrzymała rano polecenie wypłacania czeków tylko do 5 tys. Zdumiona kasjerka, widząc tak dużą sumę, zwróciła się do rejestratora o wyjaśnienie. Rejestrator z kolei stwierdził, że jakkolwiek czek posiada jego parafę, to jednak nie figuruje w ewidencji. Widząc to zamieszanie czujny pan Michał dał umówiony znak Stanisławowi P., który natychmiast dyskretnie opuścił bank

Po godzinie była już na miejscu milicja. Pan Michał bacznie śledził poczynania władzy, ale ponieważ nikogo za rękę nie złapano, był spokojny. Żałował tylko straconych pieniędzy.

Jakoż spokój nie był uzasadniony. Zaledwie trzy dni potrzebowali spece z Komendy MO, aby wyciągnąć trafne wnioski z następujących okoliczności:

1. pieczołowicie przechowywany czek z poprzedniego fałszerstwa był wypełniony tym samym charakterem pisma, którym wypełniono czek ostatni;

2. w czasie między dwoma fałszerstwami czeków w tym samym oddziale bankowym zmieniła się większość pracowników. Byli więc brani pod uwagę tylko ci, którzy pracowali w okresie obejmującym oba fałszerstwa;

3. możliwość dokonania identycznych przestępstw przez osobę spoza banku wykluczał fakt, że odciski wewnętrznych pieczątek bankowych były oryginalne;

4. pośród personelu podejrzanego tylko pan Michał i jego rodzina cieszyli się szczególnym wzrostem majętności w okresie wchodzącym w rachubę.

Jasne? Doszły, rzecz oczywista, już po rewizji p. Michała jeszcze takie detale jak: identyczny skład chemiczny atramentu w kałamarzu i na czeku oraz wynik ekspertyzy grafologicznej

Tak oto niefortunnie przysłużyły się p. Michałowi jego talent i inteligencja. I dalej chyba niefortunnie mu służą, tym bardziej że ostatnio bohater nasz żyje w nader schematycznym i monotonnym układzie, powtarzającym się z fotograficzną dokładnością co 24 godziny: pobudka, kiblowanie, śniadanie, spacer, obiad, kolacja, apel...

ASESOR

KONRAD FREJDLICH

Piwo

za jedne dwa złote
kiedy upał bulgocze w ulicy
bul bul
każdy pije co nawarzył
a piwo
jest zielone na wiosnę

czepiamy się jak chmiel
na tyczce dni
oj chmielu oj nieboże
a potem
usta obetrzeć
szorstkim wierzchem dwudziestu lat
i krawat poprawić na sercu

chandra z beczek wycieka
spod piątej klepki
a w browarach
fermentują świństewka
fetorek fe fetorek

gdzie kioski z pianą u pyska
syczą niecierpliwie kraniki
oni kufle walą z łoskotem
na ladę dni naszych
i wzrok rozlany
skapuje na podłogę

ulica czepia się
rozkołysanych latarni
skręcona nagle jak chmiel
oj chmielu

kwiecień 1959

Polana

drzewa odeszły —
cienie trakty wyrąbują w świetle

leżysz
włosy w poziomki wplotłaś

lat dziewiętnaście odeszło —
dzięcioł ciszę rozkuł
aż się sypie

leżysz —
zapach poziomki
ufny w ściśniętej dłoni

poziomka dojrzała spadła —
huka w załamkach liści

leżysz ufna — nie widzisz
słońce się szamocze
w pajęczynie z promieni

ziemia dojrzała spadła —
huka w załamkach liści

spadamy —
wypuść z ramion
nieba otwarty spadochron

Clifford D. Simak

Adapt. A. Ostoja

Pewnego razu na Merkurym...

Kule przestały tańczyć i leniwie toczyły się po równinie. Od czasu do czasu któraś z nich przyjmowała kształt jakiegoś przedmiotu, lecz czyniła to ospale, niepewnie i natychmiast wracała do poprzedniego stanu.

„Prawdopodobnie stary Crispi odłożył skrzypce — pomyślał Cragg. — Na pewno udał się w obchód, sprawdza, czy wszystko jest w porządku. Chyba nic się nie zdarzy. Stacja pracuje automatycznie, od człowieka jest wymagane minimum uwagi".

Pokój sterowniczy był wypełniony mnóstwem zegarów kontrolnych i przyrządów, które pozgrzytywały i potrzaskiwały, kierując strumień energii do podstacji w Strefie Zmierzchowej. Prostowały one fale bezpośrednie pędzące do tych punktów Systemu Słonecznego, gdzie je wychwytywały podstacje tworzące linie pierścieniowe wokół innych planet. Wystarczyło, aby choćby jeden z tych przyrządów zawiódł, aby fala odchyliła się w przestrzeni o jakiś tam ułamek stopnia i... Cragg drgnął wyobraziwszy sobie jak fala o straszliwej sile wrzyna się w planetę, w miasto. Ale mechanizm przyrządów nie mógł sprawić zawodu, nigdy to się nie zdarzyło i nie zdarzy. Minęły już czasy, kiedy to Merkury wysyłał potworne zespoły transformatorów na inne światy w towarowych statkach kosmicznych.

Cragg posłyszał ciężkie kroki Crispi na schodach i odwrócił się ku drzwiom w tej chwili, gdy stary człowiek wchodził do pokoju.

— Ziemia tylko co minęła Słońce — powiedział. — Stacja na Wenus odebrała dodatkowy ładunek.

Cragg kiwnął głową: wszystko działa według ustalonego porządku. Gdy tylko którakolwiek z planet zostaje odcięta od Merkurego przez Słońce, podstacja najbliższej planety pobiera dodatkową energię i przekazuje ją odciętej planecie tak długo, aż stanie się ona na nowo dostępną.

Cragg powstał i zbliżywszy się do iluminatora, zaczął spoglądać na zakurzone równiny. Na horyzoncie ukazał się punkt, który szybko przybliżał się po martwej szarej pustyni.

— Knut! — krzyknął.

Crispi zakulał ku drzwiom:

— Pójdę na spotkanie. Umówiłem się z nim, że zagramy dzisiaj w szachy.

— Najpierw — rzekł Cragg — niech zajdzie do mnie.

— W porządku, sir — powiedział Crispi.

* * *

Cragg w żaden sposób nie mógł usnąć. Coś niepokoiło go. Coś nieokreślonego, gdyż żadnych konkretnych powodów do niepokoju nie było. Radiowęzeł wykazał, że duży wir porusza się bardzo powoli, po kilka stóp na godzinę i przy tym w odwrotnym kierunku w stosunku do Stacji. Innych niebezpiecznych wirów detektory nie wykryły. Na pozór wszystko było w porządku. Równocześnie jednak różne drobnostki — niejasne podejrzenia, przypuszczenia — nie dawały spokoju. Choćby, na przykład, Knut. Był taki sam, jak zwykle, ale rozmawiając z nim, Cragg odczuwał jakiś niejasny lęk.

Na dodatek jeszcze ten Page. Ten dureń gotów rzeczywiście uciec, aby łapać Kule. Dziwne, jak to u Knuta zepsuła się aparatura radiowa jednocześnie i w skafandrze, i w maszynie? Zupełnie jakby została zmieciona przez strumień energii. Cragg nie umiał tego wytłumaczyć, a nawet i nie usiłował. Po prostu wzruszył ramionami.

Ostatecznie zrezygnował ze snu. Wsunął nogi w nocne pantofle i poczłapał do iluminatora, podniósł roletę i spojrzał przed siebie. Kolorowe Kule po dawnemu ślizgały się w kurzu. Wtem jedna z nich przeobraziła się w olbrzymią butelkę whisky, uniosła się do góry, przechyliła się i płyn zaczął spływać na ziemię. Cragg uśmiechnął się: „Stary Crispi marzy o wypiciu".

Rozległo się ostrożne pukanie do drzwi. Cragg gwałtownie odwrócił się. Chwilę stał zatrzymując oddech i przysłuchiwał się, jakby oczekując jakiegoś napadu. Następnie cicho zaśmiał się. Zachował się jak idiota. Nerwy. I jemu dobrze by zrobił kieliszek whisky. Znowu stukanie, bardzo ostrożne, ale też bardziej natarczywe.

— Wejść.

Crispi bokiem wszedł do pokoju.

— Właśnie tak sobie przypuszczałem, że pan nie śpi — powiedział.

— Co się stało, Crispi? — Cragg poczuł, że znów jest cały napięty. Do diabła z tymi nerwami.

Crispi zbliżył się.

— Knut — szepnął — Knut wygrał ze mną w szachy. Sześć razy z rzędu.

W pokoju rozległ się śmiech Cragga.

— Zawsze przecież wygrywałem bez trudu — mówił dalej stary. — Nawet umyślnie dawałem mu niekiedy wygrać, aby nie zraził się i nie zrezygnował w ogóle z gry. Dzisiaj wieczorem akurat przygotowałem się, aby mu spuścić lanie, i wtem...

Crispi zmarszczył się, wąsy jego poruszyły się:

— To jeszcze nie wszystko, niech to diabli wezmą. Nie wiem co to jest, ale jakoś czuję, że Knut zmienił się...

Cragg podszedł tuż do starego i wziął go za ramię.

— Rozumiem — powiedział. — Bardzo dobrze rozumiem, co pan odczuwa. — Znów przypomniał sobie jak mu włosy stawały na głowie, kiedy niedawno rozmawiał z Knutem.

Crispi kiwnął głową, jego wyblakłe oczy zamrugały.

Cragg odwrócił się na obcasach i zaczął ściągać z siebie piżamę.

— Crispi — ostro odezwał się — natychmiast bierze pan rewolwer, schodzi do sterowniczego pokoju i tam zamyka się. Nigdzie nie wolno panu wyjść, dopóki nie powrócę. I nikogo nie wolno wpuszczać.

Uważnie spojrzał na starego:

— Czy pan rozumie? Ni-ko-go! Jeśli ktokolwiek będzie pana zmuszał, należy strzelać. I niech pan u-

waża, aby nikt nie dotykał dźwigni i przekładni.

Crispi wybałuszył oczy i przełknął ślinę.

— Czy pan spodziewa się nieprzyjemności? — zapytał drżącym głosem.

— Nie wiem — uciął Cragg.

Na dole, w garażu, Cragg ze złością spoglądał na puste miejsce, gdzie powinna była znajdować się maszyna Page'a. Znikła! Wściekły Cragg podszedł do balonów z tlenem. Zamek magazynu nie uszkodzony. Włożył klucz. Stalowe drzwi otworzyły się: wszystkie balony na swoim miejscu, stoją rzędami obok siebie, przymocowane do załadowczych urządzeń. Nie wierząc swoim oczom, Cragg stał i patrzył na balony.

Są wszystkie! Z tego wynika, że Page wyruszył bez dostatecznego zapasu tlenu.

Zawrócił szybko, ale po kilku krokach przystanął. W głowie błysnęła mu myśl. Nie ma żadnego sensu zajmować się Page'em. Szaleniec, z pewnością już nie żyje. Samobójstwo — inaczej nawet nazwać nie sposób takiego postępku. I przecież uprzedzał go! Teraz ma przed sobą niezłą pracę. Cóż tam się zdarzyło, koło przestrzennego obłoku? Musi to sprawdzić. Ale nie będzie interesował się nieboszczykami. Przeklęty wariat, samobójca. Po prostu oszalał, wyobraził sobie, że zdoła złapać Kolorową Kulę.

Cragg wyłączył linię, ze wściekłością zakręcił kran balonu, rozdzielił złącza i wyciągnął balon ze stojaka. Balon był ciężki — i taki właśnie powinien był być, aby wytrzymywać ciśnienie 200 atmosfer.

Kiedy skierował się przez garaż do maszyny, kotka Matylda zbiegła po schodach na dół i natychmiast zaplątała się u niego pod nogami. Cragg potknął się, omal nie upadł, z trudnością utrzymał się na nogach i zaklął z tą doskonałością, którą zdobywa się po latach treningu.

— Mia-ła-u — towarzysko odezwała się Matylda.

Jest coś nierealnego w słonecznej stronie Merkurego, czuje się to raczej, niż widzi. Słońce wydaje się stąd dziewięciokrotnie większe, niż z Ziemi, a termometr nigdy nie spada poniżej 340°. W tym straszliwym upale, jeszcze powiększanym przez palące promieniowanie wyrzucane ze Słońca, ludzie musieli używać fotokomórkowych skafandrów, jeździć w fotokomórkowych maszynach i mieszkać w Stacji Energetycznej,

która jest niczym innym jak potężną fotokomórką. Energią elektryczną można kierować, ale gorąco i promieniowania prawie nie ulegają kontroli. Skały i grunt rozsypują się tam w proch, pocięte biczami temperatury i promieniowania. A horyzont jest zupełnie blisko, zawsze zwisa nad głową, niby krańce świata.

Ale nie to czyni planetę tak dziwną. Raczej chodzi o nienaturalne zniekształcenie wszelkich linii, zniekształcenie, które trudno uchwycić. Być może, uczucie nienaturalności jest wywołane tym, że potworna masa Słońca uniemożliwia istnienie linii prostej, zmusza do odchylenia strzałkę magnetyczną i paczy samą strukturę przestrzeni kosmicznej.

Cragg cały czas odczuwał tę nienaturalność, gdy pędził po kurzącej równinie. Śledził przez przeźroczystą tarczę wgłębienia pozostawione przez maszynę Knuta. Balon z tlenem cicho syczał, przyrząd atmosferyczny potrzaskiwał, lecz wokół było cicho.

Obejrzawszy się, Cragg zauważył, że za nim jak gdyby płynie duża granatowa Kula, wkrótce jednak zapomniał o tym. Przejrzał mapę z narzuconymi współrzędnymi wiru. Pozostawało jeszcze kilka mil. Już był prawie na miejscu.

Na oko żadnych oznak obłoku nie było widać, chociaż przyrządy odkryły go i naniosły na mapę. Cragg zbliżył się jeszcze bardziej. Być może, jeśli znaleźć się pod kątem prostym do wiru, można było odróżnić słabe migotanie, falowanie, jakie bywa, gdy się patrzy w krzywe lustro. Jak się zdaje, nic więcej nie wskazywało na jego obecność. Bardzo łatwo było wjechać w niego nawet z przyrządami przed nosem.

Cragg wstrząsnął się, pomyślawszy o pierwszych astronautach, którzy trafiali w takie wiry. Odważni ludzie ośmielali się lądować po słonecznej stronie, ośmielali się również podróżować w kosmicznych skafandrach starego typu. Prawie wszyscy ginęli w promieniowaniu, dosłownie gotowali się. Niektórzy przedostawali się w stronę równin i tu umierali. Wchodzili w obłok i jakby rozpuszczali się w powietrzu. W rzeczywistości żadnego powietrza tu nie było — nie było go już od wielu milionów lat. Na tej planecie wszystkie wolne pierwiastki dawno zniknęły. Pozostałe pierwiastki, prócz chyba tych, które znajdowały się głęboko w ziemi, tkwiły tak mocno w związkach, że zupełnie niemożliwe było wydostać je stamtąd w wystarczającej ilości.

Ślady pozostawione przez maszynę Knuta w kurzu i na kamieniach, były tak wyraźne, że o zboczeniu z drogi nie było mowy. Maszyna podskoczyła lekko do góry, następnie dała nurka w nieduża szczelinę. W środku szczeliny Cragg dojrzał fantastyczną grę światła i ciemności, jakby patrzył w lustro.

— Oto jest on — obłok przestrzenny!

Jadąc dalej śladami Knuta, wślizgnął się w szczelinę głębiej, ciągle zbliżając się do tej plamy ruchomej, prawie niewidocznej, która była wirem. Tutaj maszyna Knuta zatrzymała się. Prawdopodobnie wysiadł z niej i z kontrolnymi instrumentami podszedł bliżej do wiru; po śladach jego pozostały bruzdy w drobnym pyle. Następnie zawrócił z powrotem... zatrzymał się i znów zbliżył się do obłoku. I tam...

Cragg gwałtownie zahamował i z przerażeniem patrzył przez swoją przeźroczystą ochronną tarczę. Puls jak wściekły tłukł mu się w gardle. Zeskoczył z siedzenia i pośpiesznie zaczął wciągać kosmiczny skafander. Wyszedł z maszyny i skierował się w stronę ciemnego kształtu rozpostartego na ziemi. Zbliżał się powoli, a strach, jak obcęgami, ściskał mu serce. Wreszcie zatrzymał się.

(d. c. n.)

„Kto ma żonę kręci w jedną stronę — kto nie ma żony kręci w obie strony"... Kto tego nie zna? Oczywiście jesteśmy na odpuście. Wieś odświętnie przystrojona, „karuzel", gromadki gospodarzy, przystrojone wozy — z takim obrazem kojarzy się zawsze owo „kto ma żonę"... A tymczasem... przynosimy dziś fotoreportaż z autentycznego odpustu w sercu Łodzi na ul. Rzgowskiej. Szeroko rozłożeni kramarze, loterie, kółka szczęścia, baloniki, koguciki, papużki, gwizdki, czapeczki — wszystko to oglądane przez tłumy mieszkańców Chojen — oto swoisty obraz ulicy dwudziestowiecznego przecież miasta.

A więc: 9 sierpnia 1959 r., ul. Rzgowska...

„KTO MA ŻONĘ KRĘCI W JEDNĄ STRONĘ"...

Zdjęcia: E. KUDAJ
Tekst: M. WALCZAK

Ot i mamy symbol tego chojeńskiego dnia: biały „miś" nieodłączny od wielu lat atrybut zdjęć na wieczną pamiątkę i nowoczesny skuter.

Odpust — to również okazja do pokazania nowej bluzeczki.

„Sztuka". Szkoda, że biało-czarne zdjęcie nie daje o niej pełnego wyobrażenia. Z koła spoglądają bowiem zielono-granatowe psy, kobiety o żółtych włosach, gipsowe postacie dziecięce o potwornych twarzyczkach. A wśród tego wszystkiego... Tadeusz Kościuszko...

Patrz Kościuszko na nas z nieba.
Zalała cię szmira ojczyzno!

Kółka szczęścia cieszą się zawsze dużym zainteresowaniem. Wiadomo — już taki z nas naród, że lubimy trochę hazardu. Otwierają się więc portmonetki, mały Tomek kręci już chyba dziesiąty raz. Wygrał dropsy i trzy lusterka kieszonkowe. Będą leżały potem w komodzie — bo po co komu tyle lusterek — ale emocja jest. Podnieca się mama, Tomek ma wypieki, a tłum „kibiców" śledzi ruch puszczanego w w ruch piórka.

„Tylko u nas, tylko u nas za jedyne 2 złote", albo „tu się wygrywa, tu się wygrywa, ludzie kochani tylko za piątaka..."

Chojeńska przekupka w całej okazałości. Przed chwilą stoczyła ciężką walkę o miejsce dla swojego kramu z trąbkami, lusterkami i czapeczkami. Teraz mówi:

— Patrzcie ludzie, nie chce się posunąć, miejsca jej mało cholerze, pohandlować człowiekowi nie da!...

I za chwilę:

— Tylko u mnie, tylko u mnie. Trąbka za 2 złote, a nie jak obok za 5...

No cóż: odpustowa konkurencja działa.

Jak mówili okoliczni mieszkańcy na przeciw kościoła Przemienienia Pańskiego już od 5 rano zajmowano na ulicy miejsca na kramy i stoiska.

Przystań w Szczawnicy Niżnej. Fot. Z. Gamski.

Nowinki

Jak się dowiadujemy łódzki „Motozbyt" wyprzedał już całą pulę przeznaczonych na rok bieżący samochodów marki P-70 Zwickau i do końca roku nie spodziewa się już żadnych dostaw tych popularnych już u nas „Petek".

★

Z dniem 1 września br. osoby kupujące samochód osobowy w miejscowej placówce „Motozbytu", a zamieszkałe na terenie m. Łodzi, będą go na miejscu rejestrować, uiszczając wszelkie opłaty oraz otrzymując tablice rejestracyjne. Osoby mieszkające poza Łodzią będą mogły otrzymywać numery próbne za drobną opłatą.

Wiadomość tę podajemy z prawdziwą przyjemnością. Szkoda tylko, że na tę akcję zdecydowano się tak późno, a uniknęłoby się wielu gorzkich słów pod adresem Wydziału Komunikacji, gdy na rejestrację wozu w sezonie czekało się wiele dni. Niemniej duże brawa zarówno dla Wydziału Komunikacji jak i „Motozbytu".

Dlaczego?

„...przedsiębiorstwo, które budowało biurowiec na rogu ulic Andrzeja Struga i Wólczańskiej, blokując przez szereg miesięcy całą jezdnię, pozostawiło na jezdni „pamiątki" w postaci dołów?...

— Razi to specjalnie w zestawieniu z dalszym odcinkiem ulicy Wólczańskiej, pięknie wyasfaltowanym...

Nie będzie Fiatów

Otrzymaliśmy za pośrednictwem Łódzkiego Biura „Motozbytu" oficjalne wyjaśnienie Centralnego Zarządu „Motozbytu" z Warszawy, iż w najbliższych latach nie przewiduje się importu samochodów osobowych z krajów kapitalistycznych. Wiadomość ta, dementująca kursującą po mieście plotkę o „Fiatach" (o której pisaliśmy w naszym „Kąciku" z dnia 12 lipca br.) zmartwi niewątpliwie liczne rzesze zwolenników tych pięknych i praktycznych samochodów, na które z utęsknieniem czekali...

ZYGMUNT FIJAS

Z WIZYTĄ U JANA WIKTORA

Gdy w czasie letnich upałów idziesz drogą, prowadzącą ze Szczawnicy Wyżnej do — Zdroju, musisz sobie nos obwiązać chusteczką, bo powietrze pachnące krowimi odchodami i końskim moczem, jest tak przesycone kurzem jak Sahara podczas samumu.

Nie można nic złego powiedzieć o powietrzu wypełniającym aleję, wiodącą do Domu Zdrojowego... Pachnie ono mchem, grzybami, lipcowym miodem, rozmiękłym asfaltem i przeczyste jest jak szklanka wody.

Powietrze otulające willę, w której od czterdziestu lat mieszka Jan Wiktor, pachnie jak wyżej wymieniona aleja, bogatsze jest natomiast o kuchenne wapory, wydzielane przez mieszczący się w willi tak zwany trzon wczasowo-gastronomiczny.

Jeśli napisałem, że autor „Wierzb nad Sekwaną" i „Orki na ugorze" mieszka w willi, to przejęzyczyłem się: Wiktor nie mieszka w niej, lecz gnieździ się. Gnieździ się w maleńkim pokoiczku o jednym oknie i trzech drzwiach: jednych „wejściowych", że się tak wyrażę, drugich, wychodzących na stryszek, trzecich: od szafy.

Przed rokiem 1945, a więc przed aneksją willi przez FWP, pisarz zajmował w Szalayówce trzy pokoje. (Szalayowie to pionierska rodzina szczawnicka, jedną z głównych ulic nazwano imieniem Szalaya, willa została zapisana Wiktorowi przez Szalayową). Miał wtedy w czym zmieścić bibliotekę, kolekcję świątków, galeryjkę malowideł na szkle oraz środki żywnościowe i węgiel... Po aneksji zajmuje klitkę, wypełnioną do granic nieprawdopodobieństwa przez tapczan, biurko, fotele, krzesła, umywalkę, szafę, świątki, z prawem używalności stryszeczku, lecz bez prawa używalności piwnicy lub drewutni... Ponieważ bez prawa używalności tych dwu pomieszczeń, więc stryszeczek wypełniony jest przez książki, garderobę, surowce żywnościowe, pościel, węgiel, szczapy na podpałkę, zapasowy barłóg dla gości, malowidła na szkle i inne zabytki.

Zastanawia fakt, że autor „Wierzb nad Sekwaną" nigdy nie był spekulantem zdrojowym ani obszarnikiem, ani fabrykantem, ani innym nieprzyjacielem socjalizmu, zawsze był demokratą o sterylnie czystych rękach; ba! był przecież i posłem na Sejm, o czym żeśmy czytali w „Świecie" i gdzie indziej, i do tej chwili nie może się doczekać wyzwolenia od opresji mieszkaniowych... Opresji, gdyż dochodziło nawet do tego, że kierownicz- ka willi (bardzo dowcipna osoba, a niechże ją!...) wyłączała światło autorowi „Orki na ugorze".

Czy ta dyskryminacja nie została zauważona przez nikogo? Została zauważona: poseł Iłczuk oraz Leon Kruczkowski, byli u prezesa FWP, otrzymali przydział dla Wiktora na drugi pokój, ale podległa prezesowi dyrekcja zdecydowała odsunąć posiadanie tego pokoju do chwili jak najbardziej dla schorowanego pisarza niewygodnej.

Najbardziej zastanawia w kłopotach mieszkaniowych i posesyjnych naszych pisarzy, że Jerzy Szaniawski, nigdy nie był spekulantem, ani fabrykantem, lecz jest i był dramaturgiem, i pozostał właścicielem Zegrzynka nad Narwią oraz kilkudziesięciu morgów, Kossak-Szczucka również nie była fabrykantką i spekulantką i otrzymała w prezencie od Polski Ludowej własny przedwojenny dworek w Górkach na Śląsku, Jan Wiktor zaś jest człowiekiem, jak wielu ludziom w Polsce wiadomo, schorowanym, wszystkie jego książki zostały napisane w Szczawnicy... i władze lokalne i nie lokalne w tak wdzięczny sposób urozmaicają mu życie.

Czy nie wypada, abyście te trzy piękne kwiatki wkleili do swego satyrycznego zielnika i opatrzyli je trzema wykrzyknikami?

Ależ nie tylko wypada, ale musicie to uczynić! Amen.

Jan Wiktor Fot. A Klukowski, Warszawa.

HUMOR

Bez podpisu

Bez słów

— CHI.., jestem kapitanem Benoit w tajnej misji.

Mieszaniny

pod redakcją JANA HUSZCZY

Opowiadanie o łapówce

Tyle mówi się i pisze o łapówkach. A jednak to wcale nie taka prosta sprawa! Trzeba być trochę psychologiem i mieć dużo tupetu, żeby wręczać łapówki. Po pierwsze, można kogoś niesłusznie obrazić, a nawet moralnie skrzywdzić. Po drugie, nic łatwiejszego, jak głupio wpaść!

Oczywiście, istnieją pewne osoby, o których wszyscy — oprócz prokuratury — wiedzą, że mają lepkie ręce. Ale są też i takie persony, o których niejasne tylko krążą słuchy — i co wtedy?

A właśnie miałem pewną sprawę. Prosta na oko sprawa, nie jakaś tam operacja w szpitalu, i dawno powinna była być załatwiona. Nie umiałem zrozumieć, czemu przewlekała się i dlaczego wszystkie moje interwencje odnosiły taki skutek, jak kazania o łakomstwie do kota.

W biurze, gdzie ugrzęzła moja sprawa, naczelnikiem był niejaki Pituła. Przyzwoity obywatel z brzuszkiem i łysiną, prenumerator pism satyrycznych i w ogóle człowiek społecznie, jak się zdawało, uświadomiony.

Gdy go jednak pytałem o swoją sprawę, kręcił się niespokojnie w fotelu, wypraszał z gabinetu osoby trzecie, patrzył na mnie ironicznie przymrużonymi oczami. A ja nic, tylko rzeczowo uzasadniałem swoją rację. To Pituła każde posłuchanie kończył słowami:

— Słusznie, obywatelu, proszę jednak przyjść jutro!

Przychodziłem i znowu powtarzała się sytuacja. Wreszcie pewnego razu zdecydowałem się, i drżąc wewnętrznie, powiedziałem:

— Panie dyrektorze, miesiąc się skończył, a mnie została pięciusetzłotówka, z którą nawet nie wiem, co mam począć! — Położyłem szeleszczący banknot na biurku i pilnie obserwuję dyrektora. On zaś wstał z fotela zrobił się jakiś nieprzyjemny i zawołał:

— Co, tylko pięćset złotych za taką sprawę? Gdzież pan ma sumienie?!

Strasznie się zawstydziłem i zacząłem się jąkać:

— Proszę mi darować, panie dyrektorze, ale więcej nie mam!

A dyrektor już był wściekły. Prawie walił pięścią w biurko i sapał.

Pomyślałem sobie, że wpakowałem się w kabałę. Jeszcze zaraz gotów zadzwonić do milicji. Co tu robić? Zębem na ząb nie mogłem trafić, ręce zaczęły mi się pocić. Po chwili jednak błysnął mi pomysł: zdjąłem z ręki swój zegarek i szybko zacząłem mówić:

— Dyrektorze, proszę mi wybaczyć! Absolutnie rozumiem swój niewybaczalny właściwie błąd. Przyniosę jeszcze tysiąc złotych, ale na

razie ich nie mam. Zaklinam pana, niech pan ten zegarek przyjmie jako zastaw!

Obejrzał uważnie zegarek i przyjął. Bardzo jednak — jak na swoją skalę — porządny człowiek! Zrozumiał moje położenie, wyświadczył mi przysługę, pchnął sprawę we właściwym kierunku.

Świnią za to okazałem się niebawem ja sam! Przypomniałem sobie, iż zegarek był wart najwyżej sześćset złotych! Przypomniałem to sobie i nie wykupiłem go. Wszyscy przecież musimy jakoś żyć.

KALIKST ŁASICZKA

POZORY CZĘSTO MYLĄ

(Piosenka na gitarę)

Za domem Mietka *) troszeczkę w lewo,
gdzie przez wygony strumyczek płynie —
żebyż choć jedno szumiało drzewo,
żebyż choć żabka kwakała w trzcinie!

O, taka jakaś tam pustka dzika:
kur zdechłych kilka w stanie rozkładu,
trochę pudełek, resztki trzewika —
żadnego więcej kultury śladu!

A jednak drogi, obcy ciekawcze,
niech cię nie trwoży pierwsze wrażenie,
niech dalej wiodą drogi poznawcze,
bo czeka na cię mile zdziwienie!

Gdyż nad strumykiem, za jego trzecim
rozgałęzieniem, co się wygina
jak Małachowska **), gdy śpiew z niej leci —
rośnie samotna, dumna leszczyna...

Pod tą leszczyną, pod tą zieloną,
gdy byłem temu osiem tygodni
i błękit zorzą zachodu płonął —
widziałem w trawie sprzączkę od spodni!!!

*) MIETEK — zdrobniałe od Mieczysław. W tym wypadku chodzi o Mieczysława Kociemskiego, obywatela Skromnej Miłosnej, właściciela domu, przegranego następnie w karty, w grę zw. o k i e m. Więcej szczegółów, dotyczących ciekawej postaci Mieczysława Kociemskiego, charakterystycznej dla antagonistycznych sprzeczności w Polsce sanacyjnej, niestety, nie znamy. Ustna tradycja utrzymuje, iż po przegraniu domu, Mieczysław Kociemski osiadł w Płońsku k. Płocka i tam — dręczony straszliwymi wyrzutami sumienia — dożył do lat osiemdziesięciu dziewięciu.

**) MAŁACHOWSKA, Eumenida. Ur. 1872, zm. 1937. Jak podaje prof. Adam Brzeszcz-Kujkowski w swojej interesującej pracy o śpiewakach-amatorach w dwudziestoleciu, Małachowska była na terenie Skromnej Miłosnej bezkonkurencyjną odtwórczynią arii „Gdyby rannym słonkiem" z opery Moniuszki „Halka" na wszystkich skromnomiłosnych obchodach „Święta Morza", „Tygodnia Konia" i „Dnia Prasy Polskiej". Moniuszko: kompozytor polski, twórca wspomnianej „Halki". „Halka": zdrobniałe od Halina. Halina: imię żeńskie.

POCIĄG

ESKADRA „NIETOPERZ"

Nagroda na festiwalu w Gottwaldowie dla filmów walczących o pokój. Dramatyczny epizod z czasów wojny w Wietnamie. Produkcja „Defa" (NRD). Sporo mocnych wrażeń. „Wydźwięk" i groch z kapustą.

LUDZIE I WILKI ►

Film panoramiczny, barwny, produkcji włosko-franc., reżyserii: Giuseppe de Santis.

W rolach głównych Silvana Magnano, Yves Montand.

Dramat obyczajowy z życia włoskich chłopów. Świetni wykonawcy. Miłość, wyzysk i nędza, efektowne sceny polowania na wilki i piękne krajobrazy. Z tego materiału znakomity reżyser potrafił zrobić wiele. Ale nie jest to już wielki de Santis — twórca moralizmu. Film jest wyraźnie konwencjonalny.

MARYNARZ Z KOMETY

Radziecka komedia muzyczna. On, ona, nieśmiała miłość i Festiwal Młodzieży w Moskwie. Dużo śpiewu i zabawne perypetie.

ICH WIELKA MIŁOŚĆ

Zrealizowany we Francji film amerykański, reżyserii: Anatol Litwak. W rolach głównych: Kirk Douglas, Dany Robin.

Jeszcze jedna tragedia prostych ludzi Paryża w ostatnich dniach wojny.

NIEPOTRZEBNY.

TRAPER Z KENTUCKY

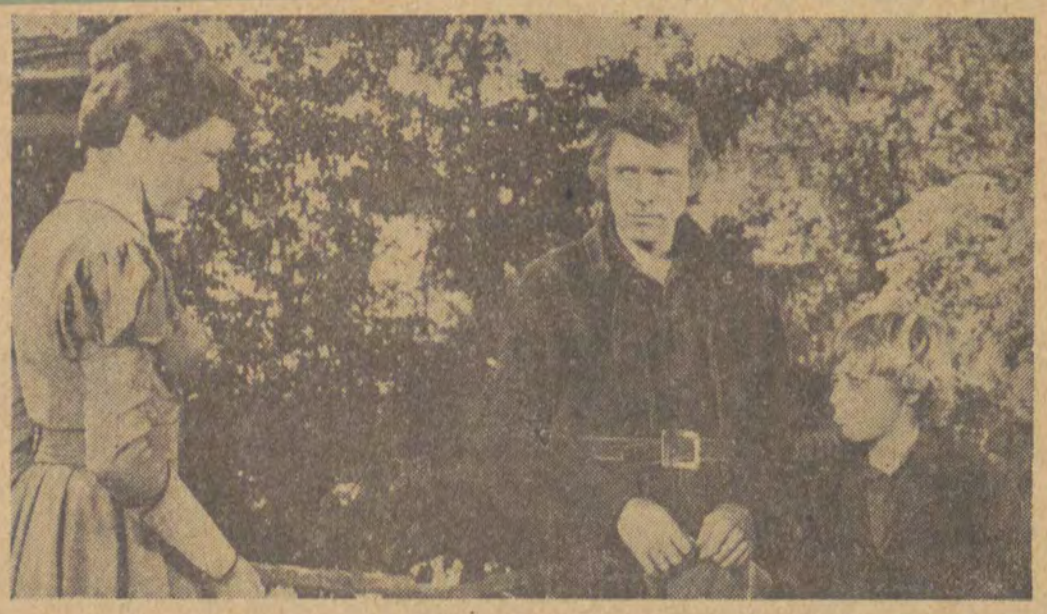

Ponadto we wrześniu na ekranach:

- ☐ filmy polskie: Pociąg, Lotna, Inspekcja pana Anatola.
- ☐ radzieckie: W okopach Stalingradu, Fatima, Ochotnicy.
- ☐ amerykański: Traper z Kentucky (panoramiczny).
- ☐ angielskie: Kroki we mgle, Człowiek w przestworzach.
- ☐ francuskie: Takich dwóch jak nas trzech, Niepotrzebny.
- ☐ jugosłowiański: Grzech.
- ☐ NRD: Car i cieśla (panoramiczny).
- ☐ bułgarski: Prawo morza.

Redaguje Zespół :: Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka" — RSW „Prasa"
Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96. Tel. 244-79 :: Warunki prenumeraty: miesięcznie 4.— zł, kwartalnie 12.— zł :: Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca :: Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy" :: Druk RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17
Zam. 2566. VIII. S-1.